

odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok V. Nr 40 (240)

Łódź, 7. X. 62.

Cena

1 zł

1000

TRZEŻWYCH

czyli wszystko o taksówkach
na str. 2



Felieton sceptyka

WSZYSTKO dla OMNIBUSOW

W kołach lekarskich uważano ostatnio dane, stanowiące ostre sygnały alarmowe, a zarazem asumpt do refleksji, czy aby nasza służba zdrowia postępuje prawidłową drogą. W wyniku konfrontacji międzynarodowych okazało się mianowicie, że jeżeli chodzi o zwalczanie gruźlicy, to jesteśmy na szarym koniu wśród państw socjalistycznych, a w zakresie zwalczania umieralności niemowląt mamy przed sobą całą Europę, a za sobą jedynie Grecję i Turcję.

Ponieważ wątpię, czy ukrywanie tej prawdy, pod sukniem wyidealizowanego społeczeństwa na zdrowie, powiem konkretniej. Po piętnastu latach zorganizowanej akcji przeciugruźliczej notujemy w naszym kraju ponad 600 tys. gruźlików, w tym ponad 300 tysięcy praktykujących. Oznacza to, że co 50 Polak uległ łasecznikom Kocha z tym, że średnia ta w niektórych rejonach kraju przedstawia się jeszcze gorzej. W Łodzi co 17-18 obywateli wykazuje zmiany radiologiczne na płacie choroby, bądź ma ją w stadium praktycznym. I dalej: po dwunastu latach przymusowych szczepień ochronnych zdolaliśmy nimi objąć zaledwie 78 procent dzieci, podczas gdy w ZSRR, CSRS i NRD odsetek ten sięga 97-98. Światowe promille zgonów niemowląt wynosi 18-19, podczas gdy u nas jest ono więcej niż czterokrotnie wyższe.

Organizatorzy służby zdrowia upatrują źródła tego niepowodzenia w błędnej koncepcji generalnej, która doprowadziła do dysproporcji między leczeniem i zapobieganiem i otwartym. Mówiąc najprościej, jak dotąd, bardziej dbaliśmy o łóżka niż o poradnię. Nie ma chyba w Polsce powiatu, gdzie byśmy nie stworzyli szpitala, ale równocześnie w 160 powiatach nie zorganizowano poradni przeciugruźliczych, a do 80 powiatów szpitala dociera raz na tydzień.

Drugie źródło porażki leży w pewnej hipertrofii poradni



Fot. W. Biliński

WANDA KARCZEWSKA

Szkice amerykańskie

LEGENDY i MITY



Fot. A. Kondratiuk

Kiedy Stanisław Tomasiński uchodził z kraju przed branką carskiego wojska, i ostatnim spojrzeniem ogarnął rodzinna wieś — zawarł w pamięci na zawsze to, co dla niego było Polską: białona chata kryta słomą, cembrowina studni z pocieranym żurawiem z jednej strony, z drugiej — szopa na drzewo, oborka z wyciekającą gnojówką stodola i to miejsce do kucania z nią. Daleko za wsią, na końcu alei kaszaniowej jaśniał pański dwór. Stach, pasając jako dziecko krowy na łące, potem różne sierpem żyto widział parę razy jak w futrach, jedwabiach, w obłoku pary końskiej przejeżdżała karetka pana i pani ze dworu. Ale trzask biega cichł, stangret na koźle malował w oddali i pejzaż znów szarzał: wierzba pochylała się nad pocieranym posykiem dachu, mgła podnosiła się z podmokłych łąk, ujadł zażarcie Burek, pewnie Krasula znów weszła w szkodę...

Tomasiński, skorzystał z namów agentów poszukujących siły roboczej do Ameryki, przeszedł kordon graniczny i w Hamburgu wsiadł na sta-

tek wiozący go do Ziemi Obiecanej. I tę swoją Polskę — słomianą, wierzbową i gnojówkową, to swoje widzenie Polski przekazał dzieciom spłodzonym w Ameryce z dziewczyną, również jak on, polskiego pochodzenia.

Kiedy Amerykanin Joseph Tomasiński, syn naszego Stanisława Tomasińskiego przybył po drugiej wojnie z darami UNRRA do Polski — wylądował w Szczecinie. Były tam długie nabrzeża i wielkie usypiska gruzów, znak, że musiało tam istnieć spore miasto. Ale to miasto — jak go poinformowano przez długie lata należało do Niemiec — więc to nie była ojczyna Polska. Trasa Joe Tomasińskiego dalej — zatem załatwił w porcie formalności i pojechał szukać ojcowej Polski — łakowej i razowej z jej chatami krytymi słomą. Tam miał ucałować próg ojcowej, obejść morgę piasku i pół morgi torfiastej łąki, odwiedzić sąsiadów, powiedzieć im: „Pokwalony Dżesus Krystus! How, are you, czyli jak się mała, przyjemnie poznać was...”. Miał też opowiedzieć jak to jego ojcu powiodło się

w nowym kraju, jak w pocie czola, nieraz o suchym chlebie, w czasach kryzysów i potem okresach prosperity dochował się sześciorga dzieci, którym dał albo dobry fach, albo wykształcenie, których pożenił, a którzy teraz mają już własne rodziny, domy, auta, telewizory i pralki — nie to co wy mała w Polsce: słomiane dachy, woda ciągniona ze studni i miejsce do kucania za stodolą. Nie, tego ostatniego Joe nie miał mówić, miał skończyć na telewizorach i pralkach; reszta miała sama z jego słów wynikać. Joe nie od razu trafił do wsi ojcowej, było mu trochę nie po drodze, wprawdzie było załatwić unrowskie sprawy i jechać do innych „wsi”, takich jak Poznań, Łódź, Kraków, Tu od

Dalszy ciąg
na str. 5

CZŁOWIEK W NIEBEZPIECZENSTWIE

Bombardowanie impulsami, agresja, najsilniejsza, inwazja. Wszystkie te określenia mogłyby być zaczerpnięte z jakiegosć biuletynu wojennego, w istocie służą one jednak do oznaczenia zjawiska, całkiem pokojowego. Człowiek dzisiaj stał się bowiem przedmiotem uporczywego i nieustannie potężniejszego ataku świata obrazów. Obrazów statycznych, czyli fotografii, będących niepełnym odzwierciedleniem rzeczywistości; obrazów symbolicznych, takich jak reklamy, ilustracje, plakaty itd.; a przede wszystkim zaś obrazów ruchomych, obrazów filmowych i telewizyjnych, odzwierciedlających w sposób niemal magiczny trójwymiarowe życie świata.

„Dawniej człowiek postrzegał świat i działał — stwierdza naukowiec Joseph Nuttin — ale rola działania była o wiele większa od roli postrze-

gania. Dziś natomiast świat postrzegany przewyższa tysiąc krotnie możliwości działania, i fakt ten niweczy pierwotną równowagę, dla której człowiek został stworzony”. Człowiek współczesny stoi w obliczu dwóch rzeczywistości: rzeczywistości własnej, prywatnej, która wymaga od niego wysiłku mniej lub bardziej proporcjonalnego do jego ograniczonej siły fizjologicznej i rzeczywistości zbiorowej, uniwersalnej, kosmicznej, która objawia mu się poprzez potężne kanały komunikacji, która go przytłacza i zmienia jego zachowanie.

Rzut oka na statystyki pozwoli nam w pełni ocenić potęgę tej drugiej rzeczywistości i dominującą rolę jej, ingerencji, w życie dzisiejszego człowieka. W takich na przykład Włoszech 11.000.000 osób czyli blisko jedna trzecia dorosłej ludności ogląda co

wieczór program telewizyjny. Średnio biorąc każdy dorosły człowiek traci w ciągu roku 275 godzin na pośrednią czyli telewizyjną percepcję otaczającej rzeczywistości. Do tego dodać należy czas poświęcony kinu. We Włoszech sprzedano w roku 1960 740.000.000 biletów kinowych, w Anglii 515.000.000, we Francji 351.000.000. Rzecz znamienna, liczby te zdradzają stałą tendencję wzrostową.

Człowiek, który jeszcze do niedawna trwał w stanie spokojnej równowagi w świecie słownej techniki informacji (prasa, literatura), rzucony został nagle w magiczny świat informacji wizualnej. Ten świat wizualnych technik informacji określił Cohen-Seat — uczony francuski — mianem „ikonosfery”. Novum ikonosfery polega na tym, iż może ona ukazać człowiekowi rzeczywistości nie mającej nie

wspólnego z jego własnym, indywidualnym istnieniem, i może owoć przed nim światy, wobec których jest bezsilny, i które budzą w nim niepokój.

Cohen-Seat zaprzagnął zbadać do głębi problemy związane z istnieniem ikonosfery. Stworzył więc dyscyplinę naukową zwaną filmologią, zorganizował pracownię badawczą przy Sorbonie i założył czasopismo „Miedzynarodowy Przegląd Filmologiczny” mające służyć popularyzowaniu jego teorii. Uczony francuski chciał znaleźć odpowiedź na dwa pytania: jaka jest natura wpływu wywieranego na człowieka przez obraz filmowy? Jakie zmiany psychofizyczne zaisc muszą nieuchronnie w człowieku żyjącym w świecie ikonosfery? Dziś, w sześćdziesiąt lat od chwili narodzin filmologii Cohen-Seat próbuje już formułować od-

powiedzi na te pasjonujące pytania. „Nigdy w historii ludzkości nie istniało podobne zjawisko — mówi on — tak nowe i tak zrównujące wszystkich obywateli świata. W istocie sprawa jest bardzo prosta. Człowiek idzie do kina, zajmuje miejsce i zaczyna z wielkim napięciem czekać na coś, coś zupełnie nieoczekiwanego, niespodziewanego, czego nie zna i nie umie sobie wyobrazić. Potem gasną światła, zaczyna się widowisko i człowiek jest głęboko przekonany o tym, że uga mu się uciec od trosk codziennego życia zachowując absolutną trzeźwość umysłu i świadomość siebie. A tymczasem nie z tego! Szybko przeobraża się on w rodzaj dziwnego strzałki oscylującej między stanem pełnej

Dalszy ciąg na str. 3

Dalszy ciąg
na str. 12

FELIKS BABOL

TYSIĄC TRZEŹWYCH

czyli wszystko o taksówkach



Taksówka z francuskiego „taxi” — jest nie tylko „drożką samochodową z licznikiem”, o czym mówi encyklopedia, ale naprawdę czymś więcej. Dla blisko tysiąca łódzian, którzy związała z nią egzystencję jest równie zawodem, jednym z najbardziej samodzielnych i dających względnie niezależność, a poza tym najlepiej szkołą trzeźwości, bo spróbuj „na gazie” wyjechać do miasta!... Jeśli już ktoś sobie życzy — taksówka może stać się również źródłem... kłóski na całe życie. Jeszcze do dziś w pewnych kręgach opowiadają o „poważnym człowieku”, który remu taksówka zlamala karierę i skomplikowała życie. Po kolacji w knajpie przypętała się do niego i kołegów jakaś dziewczyna, a gdy ją podwozili Alejami Kościuszką, tuż przed ul. Zwirki nastąpiła kraksa. Nie wiele w niej ucierpiała taksówka, a i pasażerowie wyszli bez szwanku, ale na miejscu kraksy znalazł się milicjant, który spisał protokół, ten powołał do oficera dyżurnego, a od niego już prosta droga do... reportera z gazety. Rezultat: żona „poważnego człowieka” dowiedziała się raptem, co jej mąż robi w nocy, i zalamana psychicznie zażądała rozwodu, szef „poważnego człowieka” zaś orzekł, że miał o nim inne zdanie i zwołał go więc z kierowniczego stanowiska. Oż życie...

TAKSÓWKA NIE „KANADA”

Ostatnim, bieżącym numerem łódzkiej taksówki jest 879, ale że niektóre z nich należą do spółek, można powiedzieć, że tych „niezależnych”, „samodzielnych” pracowników „czterech kółek” jest w Łodzi około 1000. Oto liczba najtrzeźwiejszych w naszym mieście — w zadanym bowiem zawodzie wódka nie jest tak groźnym wrogiem, jak właśnie w taksówkarstwie.

— Wypijesz — to nie pojedziesz! Nie pojedziesz — to nie zarobisz! — takie są źródła abstynencji taksówkarzy. Gdy jeżdżisz w dwójkę — jeszcze pół biedy: jeśli jeden „musi” popić — zastąpi go współnik, ale jednoosobowi przedsiębiorcy prowadzą żywot niemal zakonny — ani na imieniny, ani do teatru czy kina, bo imieninowa wódka zabiera całą dobę zarobkowania na miasto — całą dobę potrzebną na usunięcie z krwi tego fatalnego promille alkoholu, który zabarwia balonik milicjanta i dyskwalifikuje kierowcę.

— Musisz utargować 400 — 500 zł dziennie — wyjaśniają fachowcy — aby wyjść na swoje. Bo policz tylko: rata miesieczna za „Warszawę” 2.600, podatek 1.200, paliwo i oleje 3.000, a na utrzymanie swoje i rodziny

4-5 tysięcy. Resztę trzeba odkładać. W Łodzi „Warszawa” zdiera się po czterech latach i w tym czasie „taksiarz” powinien oszczędzić na nowy wóz. Na tej ekonomii znają się ludzie z Wydziału Finansowego i doszło do tego, że nawet nie pytają, skąd masz pieniądze na nową „Warszawę”. Wiedzą, że uciulane.

A więc może to dobry interes? Że na pewno dobry — uwierzyli kilka lat temu ci łódzianie, którzy próbowali wejść do zawodu: rzeźnicy, szewcy, krawcy, ekswojskowi i nawet inżynierowie. Wszyscy przypuszczali, że taksówka to „Kanada”.

— Ale sparzyli się na tej „Kanadzie” — powiada prezes łódzkiej taksówkarszy p. Kaźmierski. — Major — rezerwista wkrótce wycofał się z taksówkarstwa, inżynier od pomp i ten drugi — budowlany też odeszli, powoli wychodzili z zawodu piekarczy, krawcy i szewcy.

Tym ostatnim, jak wiemy, podciął grunt pod nogami państwowy przemysł obywateli i odzieżowy, robiący coraz lepsze obuwie i szyciający coraz gustowniejszą odzież. Przyszli do zawodu, bo tu chcieli się „odbić”, ale i stąd życie wyrzuciło ich za burtę. Jednemu trzeba było odebrać koncesję, bo żądał więcej niż wybił licznik, innemu za odmowę jazdy, innemu wreszcie za „dziewczynki”. Milicja ostro wzięła się za zmotoryzowane domy publiczne i dziś już ich już nie spotkasz — tych wolno wzdłuż chodnika sunących taksówek z „ciżką” za oknem, wabiącą klientów. Ale szum w swoim czasie było w Łodzi na ten temat wiele.

Odkąd zaczęto dawać wozy na raty, datuje się w Łodzi prawie kompletne odnowienie parku taksówkowego. Zresztą widać to na ulicach — nowe „Warszawy” (jest ich jakieś 90 proc.), nowe „Moskwice”, „Octavie”, „Syreny”. Oczywiście jest i zielona „petka” czyli „P-70”, którą prowadzi jedyna kobieta — taksówkarz Janina Grzelak.

TROCHĘ HISTORII

Właśnie mija czterdziestolecie łódzkiej taksówki. Pierwszym łódzianinem, który zaczął w tym zawodzie był Władysław Sawicki. Było to we wrześniu 1922 roku. Jeździł na „Fordzie”-pedałowcu, bez startera, bez licznika, światło zaś miał dopiero w czasie jazdy — z „koła”.

— Jeździło się na umowę — wspomina stare dzieje — ile kilometrów, tyle litrów benzyny. Więc jak ktoś przejechał 15 kilometrów, to się mnożyło 15 przez 60 groszy (tyle kosztował litr) i to była opłata.

W 1923 kursowało po Łodzi pięć taksówek, w 1925 rzucono na taksówki czeskie „Tatry”, a w r. 1926 „Citroeny”, pojawiło się też kilka inicjatyw w większym stylu: Tesche z Piotrkowskiej 175 pucali na miasto

— Słyszeliśmy, że w Katedrze Pana Profesora trwają prace nad tzw. akumulacyjnym ogrzewaniem. Na czym to polega?

— Elektryczne ogrzewanie akumulacyjne polega na tym, że energia elektryczna pobierana jest z sieci tylko w nocy, natomiast ciepło wytworzone z tej energii użytkowane jest w ciągu całej doby, lub też tylko w pewnych określonych godzinach w zależności od woli użytkownika. Ten sposób pobierania energii elektrycznej dla celów grzejnych ma dla elektryków, zwłaszcza ciepłych, duże znaczenie, gdyż zwiększa obciążenie w nocy, a tym samym podnosi sprawność produkcji energii elektrycznej. Z tych względów ogrzewanie akumulacyjne jest silnie popierane w wielu krajach jak np. w Szwajcarii, Austrii, NRF, Anglii, a ostatnio w Czechosłowacji i NRD.

— Czy ogrzewanie akumulacyjne można zastosować do pomieszczeń mieszkalnych?

Myślę tu zarówno o efektach cieplnych, jak i ekonomicznych oraz użytkowych...

— Jak najbardziej, ogrzewacze akumulacyjne mogą mieć szerokie zastosowanie przede wszystkim dla celów mieszkaniowych. Efekt — ogrzewania jest ten sam co ogrzewania np. centralnego lub piecowego. Natomiast korzyści są znaczne. Przede wszystkim odpada palenie w piecach. Jeżeli zaś chodzi o ogrzewanie centralne, to tutaj najważniejsze jest to, że ogrzewacze elektryczne nie wymagają instalacji kotłowej do wytworzenia pary. Odpada też konieczność liczenia się z odległością od elektrociepłowni co przy ogrzewaniu centralnym ma duże znaczenie. Poza tym mając ogrzewanie akumulacyjne jest się niezależnym od pory roku czy temperatury na dworze. Zawsze można włączyć grzejnik i pobierać energię ogrzewczą dla mieszkania.

— Co to są grzejniki akumulacyjne? — Składają się one z masy akumulacyjnej — magnetytovej, która pobierając w nocy ciepło oddaje je stopniowo w ciągu całej doby. Kształt ogrzewaczy może być różny: w postaci kominów, niskich, podłużnych wmurowanych pod parapetami okiennymi, mogą też być wmurowywane w ścianę lub podłogę (jak np. w Anglii).

— Wymienił Pan Profesora kilka krajów, które stosują już u siebie ogrzewanie akumulacyjne. Jaki typ ogrzewania będziemy stosować w Polsce? — W roku bieżącym przeprowadziliśmy studia nad tym zagadnieniem w Austrii. W

kilku „Citroenów”, ale wkrótce zbankrutował, i z „Tatrami” też nie zrobiono interesu. W 1928 wszedł na listę łódzkiej taksówkarszy obecny ich prezes p. Kaźmierski. Też na Fordzie-pedałowcu.

I on próbował organizacji większego przedsiębiorstwa (trzy Chevrolety i Whiped Overland) i jemu jednak interes „nie wszedł”. Sprzedał więc wozy na raty innym kierowcom, a sam... poszedł na posadę do Scheiblera. Dostał tu 400 zł pensji i przez jakiś czas wozził na Chevroletcie de Luxe znanego w Łodzi specjalistę — włókiennika, inż. Prindisa. Wszystkie wozy prezesa poszły potem w 1939 roku na wojnę i nie wróciły już nigdy do Łodzi...

ZAWÓD DLA ZAWODOWCÓW

Praca w taksówce jest ciężka, ale w opinii ludzi z zewnątrz zostały tylko plusy zawodu: samodzielność i niezależność. Więc ci, którzy zazdroszą i stać ich na cztery kółka, pchają się do Wydziału Komunikacji po koncesję. A o koncesję nawet łatwo. Wystarczy: prawo jazdy drugiej kategorii, 3 lata pracy za kierownicą i niekaralność za przestępstwa przeciwko państwu czy z chęci zysku. Zawodzą się jednak już po kilku miesiącach, a ich żony odnoszące koncesję mają... lzy wzruszenia w oczach.

— Nareszcie mam męża, a dzieci ojca — mówią.

I w zawodzie zostają tyl-

ROZMOWA ODGŁOSÓW Z:

prof. mgr. inż. BRONISŁAWEM

SOCHOREM

kier. Katedry Grzejnictwa Elektrycznego PŁ

o:

akumulacyjnym ogrzewaniu mieszkań

Wiedniu jest zainstalowanych 43 tys. akumulacyjnych nagrzewaczy wody o łącznej mocy 62 MW oraz 15 tys. akumulacyjnych nagrzewaczy pomieszczeń o łącznej mocy 83 MW. Liczby te należy odnieść do mocy szczytowej, która w Wiedniu wynosi około 470 MW (w Łodzi około 220 MW).

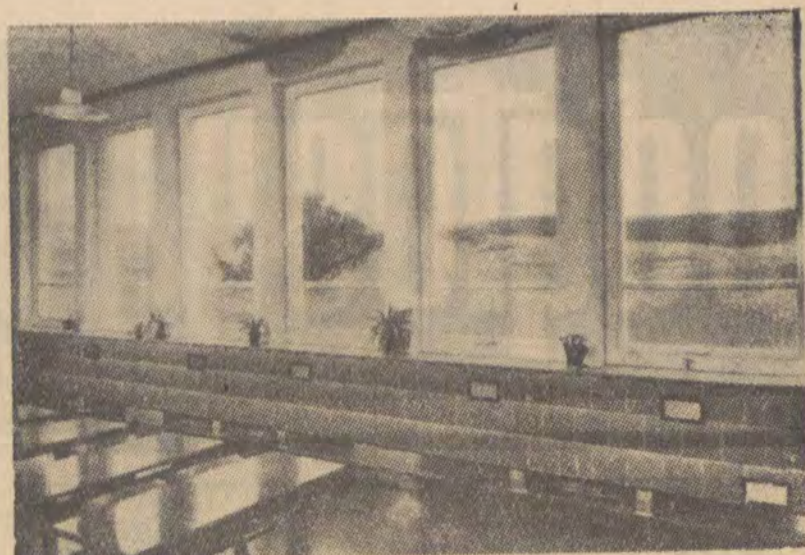
— Czy opracowana przez Pana metoda ogrzewania akumulacyjnego jest po raz pierwszy stosowana w Polsce?

— Tak. U nas w Łodzi i w kraju moc akumulacyjnych nagrzewaczy równa się zeru.

— Na czym polega istota przeprowadzanych przez Pana Profesorów prac nad rozwiązaniem i zastosowaniem w praktyce tego zagadnienia?

— Kierowana przeze mnie

Katedra Grzejnictwa Elektrycznego PŁ opracowuje dokumentację i prototypy akumulacyjnych nagrzewaczy pomieszczeń. Prace te finansuje Ministerstwo Górnicztwa i Energetyki oraz Instytut Energetyki w Warszawie. Dwa pierwsze prototypy ukończyliśmy jeszcze w ub. roku i dokonaliśmy na nich prób wstępnych. W czasie nadchodzącej zimy zainstalujemy więcej nagrzewaczy akumulacyjnych w łódzkim budownictwie: w sklepach, biurach i mieszkaniach prywatnych. Dużą inicjatywę w kierunku spopularyzowania ogrzewania akumulacyjnego w łódzkich budynkach wykazuje dyr. inż. Labuziński z Miejskiego Biura Projektów, który spowodował opracowanie projektów tego rodzaju ogrzewania w skle-



pach przy ul. Armii Czerwonej oraz w pomieszczeniach Szpitala im. Jordana. — Mówiliśmy dotychczas tylko o prototypach. Czy myśli się o produkcji ogrzewaczy akumulacyjnych na skalę przemysłową? Amatorów na nie będzie chyba niemało.

— Już teraz otrzymuję listy z prośbą o zainstalowanie ogrzewania tego typu w mieszkaniach prywatnych. Niestety, na razie nie jesteśmy w stanie tego uczynić, gdyż produkcja grzejników dopiero się rozpoczyna. Są w tej chwili 4 zakłady nastawione na ich produkcję: w Brzegu, w Świebodzicach, w Zarach oraz Łódzkie Zakłady Remontowo-Montażowe Przemysłu Lekkiego w Łodzi. Niestety, prace mogłyby przebiegać szybciej, gdyby było więcej zainteresowania ze strony przedsiębiorstw mogących podjąć się produkcji ogrzewaczy.

— Kiedy więc będziemy mogli nabywać ogrzewacze akumulacyjne do naszych mieszkań?

— Trudno mi na to odpowiedzieć. Wymaga to przygotowania odpowiednich urządzeń grzejnych oraz dostosowania sieci zasilających. Poza tym muszą być przeprowadzone ściśle obliczenia, które umożliwiłyby wybranie odpowiedniej taryfy energii elektrycznej. Koszty ponoszone przez użytkowników nagrzewaczy nie mogą być wygórowane, gdyż mimo dużych zalet tego rodzaju ogrzewania (odpada noszenie węgla, popiołu, palenie w piecach) nie byłoby ono dostępne dla szerokiego ogółu.

Rozm. K. WYRZYKOWSKA

czy też zgola... braku kultury. Jednemu z kolegów — dziennikarzy wydarzył się taki wypadek na Dworcu Kaliskim: zatrzymał swego „Wartburga” w pobliżu postoju a gdy wysiadł — otoczyło go nagle kilka wozów, wyskoczyli z nich kierowcy i od razu na „ty”!

— Mamy cię łobuzie! To ty wczoraj na Rzgowskiej poderwałeś nam klienta! — Może byłem do kogoś podobny — opowiadał kolega — do kogoś, kto tym ponom istotnie sprzątnął poprzedniego dnia pasażera sprzed nosa, ale nawet gdyby — ci kierowcy na dworcu zachowali się przeciwko niżej wszelkiej krytyki, wręcz po chamsku...

Opowiadał inny znajomy: — Czasem śpieszy mi się wyjątkowo. Gdy więc nie chcę się spóźnić do pracy, wsiadam do taksówki na Placu Wolności, by wysiąść na Tuwima. Człowiek chce odzalać tych parę złotych, by nie narazić się na rozmowę z dyrektorem. Ale najcenniejsze nie udaje mi się — kierowca słysząc, że chcę jechać tylko do Tuwima, otwiera drzwi i mówi: — Coś pan z byka spadł! Te dwa kroki mam jechać?

No i dyskusji nie ma. Pewnego wieczoru nie było dyskusji również między pasażerem, a kierowcami dwóch taksówek na postoju na Chojnach. Pasażer, któremu uciekł autobus (już ostatni) daremnie błagał taksówkarzy, by z nim poje-

— Powiedział inny znajomy: — Czasem śpieszy mi się wyjątkowo. Gdy więc nie chcę się spóźnić do pracy, wsiadam do taksówki na Placu Wolności, by wysiąść na Tuwima. Człowiek chce odzalać tych parę złotych, by nie narazić się na rozmowę z dyrektorem. Ale najcenniejsze nie udaje mi się — kierowca słysząc, że chcę jechać tylko do Tuwima, otwiera drzwi i mówi: — Coś pan z byka spadł! Te dwa kroki mam jechać?

— Staliśmy z chorą na postoju przy ul. Rewolucji 1905 roku — relacjonowała swój wypadek jedna znajoma. — Gdy taksówka nadjechała podszedł do niej jakiś facet, który nie zważając na to, że dwie kobiety stanęły już przed nim, pchał się do wozu. Prosiłam taksówkarza, że jestem z chorą, która powin na natychmiast znaleźć się w łóżku, nie nie pomógł. Zabrał faceta i koniec. Zostałyśmy na lodzie.

Numer tej taksówki, której właściciel nie uszanował ani pierwszeństwa, ani też wyjątkowej sytuacji pasażera (chora człowiek czeka) znany jest naszej redakcji. Nieobce nam są również inne przykłady małego wyrobienia społecznego ze strony niektórych taksówkarzy

UWAGA!

CZŁOWIEK W NIEBEZPIECZEŃSTWIE

(Dalszy ciąg ze str. 1)

Wzrost samowolności, krytycznej samoświadomości, a planem partycypacji, identyfikacji, zafascynowania, a nawet wprost hipnozy. Warunki, w jakich odbywa się widokowo filmowe (ciemność, samotność w łonie tłumu) czynią człowieka szczególnie uległym i podatnym. Jednocześnie zaś obrazy filmowe niosą z sobą potężną siłę emocjonalną zdolną wyrwać człowieka ze stanu krytycznej samoświadomości i pobudzić w nim te czynniki emocjonalne, które trzymane są zazwyczaj pod ścisłą kontrolą świadomości. A więc film osłabia samokontrolę człowieka i wywołuje swego rodzaju mimowolne działanie jego organów.

Lecz same sformułowania teoretyczne nie są dostatecznie przekonujące w tym wypadku. Trzeba mieć również w ręku dowody zdobyte na drodze doświadczeń i eksperymentów. Dlatego Gilbert Cohen-Seal zorganizował pracownię badawczą, która niedawno przeniesiona została z Paryża do Mediolanu, gdzie znalazła swą siedzibę przy szpitalu psychiatrycznym Afforzi. W tej pracowni przeprowadzają z pozoru niewinną grę kinową, a otoczonej murami czułych i podchwytliwych aparatów, człowiek siedzący przed ekranem poddany zostaje wszechstronnej obserwacji. Na głowę zakłada mu się specjalne słuchawki połączone z ukrytym na górze elektroencefalografem. Przed projekcją pobiera się taktemu doświadczałyemu widzowi próbki krwi, a często i moczu do analizy. Wokół niego panuje pozornie ciemność jak w normalnej sali kinowej, ale ciało jego świeci w rzeczywistości, bombardowane nieustannie promieniami podczerwymi, wysyłanymi przez niewidzialny aparat. To ciało jest przedmiotem uważnej obserwacji przez specjalny telewizor o obwodzie zamkniętym.

I oto w całej swej pełni ujawnia się reakcje psychofizjologiczne, wywołane oddziaływaniem pozornie tak nieszkodliwego bodźca jakim jest film. Widz, który przyszedł do kina szukać zapomnienia od codziennych kłopotów, nie podejrzewa nawet co się w nim dzieje w trakcie owej „niewinnej” ucieczki od rzeczywistości, jak dalece burzliwe zachodzą w jego organizmie procesy.

Zapis elektroencefalograficzny zdradza na przykład ciągłe i dosyć znaczne zmiany w działalności mózgu, zmiany będące do dziś dnia przedmiotem uważnych studiów. Zmiany te zachodzą między innymi odpowiednio do nierównomiernego rytmu światła-ciemności (u osobników szczególnie podatnych rytm ten może spowodować nawet coś w rodzaju nerwowego kryzysu). Mózg daje bioelektryczne sygnały zmęczenia, gdy film zbyt długo angażuje maksymalne zainteresowanie widza. Dalsze zmiany powoduje nieostry obraz wymagający znacznego wysiłku wzrokowego.

Elektroencefalograf notuje również wzrost zmęczenia czysto fizycznego u widza, wówczas, gdy bohater filmu dokonuje jakiegoś szczególnie męczącego wysiłku. Również i krew widza ulega zmianom. Zmienia się bowiem i to niebezpiecznie jej formuła (układ ciałek czerwonych itd.) wówczas gdy akcja na ekranie budzi szczególną grozę lub napięcie, wywołując w widzu

ostra reakcję a nawet szok. Umysł widza uważnie śledzi tok filmu, ale czasami rytm filmu jest znacznie szybszy od jego zdolności integracji i wtedy może się zdarzyć, że rozumienie oglądanego widowiska zacznie ruwać się — gubić. Widz przeinacza sens wydarzeń i postaci. Cały organizm człowieka popada w stan jakiegoś odrętwienia, co skrupulatnie odnotowują elektroencefalograf. Jednocześnie można zaobserwować pewne odruchy zewnętrzne, jakież zarysy gestów wykonywanych niemal w transie i naśladujących nieświadomie ruchy i gesty bohatera filmowego.

„Przy stanie owego urzeczenia — mówi Cohen-Seal — pozorne zniechęcenie idzie w parze z wielką i podświadomą aktywnością organizmu. Film jest zjawiskiem tak bardzo obfitującym w elementy niezwykle, że przystosowanie się doń sprawia widzowi dużą trudność. Wystarczy tylko pomyśleć, jakie zamieszanie wprowadza film chociażby w kategoriach czasu i przestrzeni, które należą do fundamentalnych zasad myślenia człowieka. Mimo, iż widy nie rusza się z miejsca, krajobraz na ekranie zmienia się nieustannie i błyskawicznie razem. Porządek czasowy ulega ciągłym zmianom, podgorzadkowemu wymogom fabuły. Nieoczekiwane zmiany punktu widzenia niweczą harmonijność aktu postrzegania. Wszystkie te elementy oddziałują na bezbronny i podatny organizm pogrążony w ciemnościach sali kinowej i z natury rzeczy zmuszają go do nieustannego procesu przystosowywania się, procesu wymagającego znacznych ilości energii. Trudno obliczyć koszty tego ciągłego powrotu do równowagi, ale na płaszczyźnie psychofizjologicznej najgroźniejsze szkody ponosi się wówczas, gdy człowiek w stanie



nie urzeczenia odnajduje w filmie swój własny problem, sprawiający mu wiele kłopotów i cierpień. W takim wypadku zostaje on wciągnięty w akcję filmu także i sercem, całym sobą, wtedy ogarnia go niepokój. I to już jest w istocie stan porażenia, stan zatrucia”.

Pośród wszystkich czynników współczesnej ikonosfery najmocniej i najgłębiej oddziałuje na duszę człowieka właśnie film. Budzi on to, co drzemie w pokładach podświadomości, ujawnia stłumione impulsy, wspomnienia, nie spełnione nadzieje. Dlatego właśnie film a nie fotografia lub telewizja? Zdaniem znakomitego psychoanalityka, prof. Cesare Musatti, przyczyna tego zjawiska tkwi w zdumiewających analogiach jakie istnieją między filmem, a podświadomymi marzeniami i snami człowieka.

„Porównajmy film ze snem — mówi Musatti. Obrazy filmowe nie należą do rzeczywistości, rozwijają się w przestrzeni ewokowanej. Po wyjściu z kina pozostawiają wspomnienia podobne wspomnieniom snów, wspomnienie czegoś co nie jest częścią świata realnego, wspomnienie które szybko staje się mgliste i fragmentaryczne. We śnie człowiek często zachowuje się jak widz, z pewnym dystansem, śni, że mu się coś śni. W filmie również uczestniczy on w pewnej rzeczywistości z niejakim dystansem, z poczuciem, iż asystuje czemuś, co doń nie przynależy. We

enie człowiek pozwala sobie na pewne rzeczy, które w realnym życiu są mu zabronione. W filmie również rozkoszuje się różnymi zakazami owocami jak erotyzm lub gwałt mogą jednocześnie utożsamiać się po trosze ze wszystkimi postaciami zależnie od obojętnej. Podobnie jak sen tak i film dają okazję do wyładowania pewnych tłumionych instynktów. Spotkalem już pacjentów przeżywających w czasie projekcji jakiegoś filmu ataki dręczącego niepokoju, albowiem ich podświadomość została boleśnie ugodzona podobieństwem określonych sytuacji na ekranie z własnymi tłumionymi marzeniami. I wtedy nie potrafili oni opanować dręczącego ich konfliktu.

Co się zaś tyczy procesu identyfikacji, bywa, iż widz, pragnąc oderwać się od codziennego życia odnajduje w bohaterach filmowych zupełnie inny świat, w którym może się pogrążyć, znajduje rodzaj kompensaty, i często wzborga siebie o pewne cechy ich osobowości, unosząc je z sobą nawet po skończeniu



nej projekcji. W ten sposób działanie filmu jako środka ucieczki od rzeczywistości nie kończy się z samą projekcją, ale trwa nadal i często przeobraża się w działanie aktywne, odbijające się w sposób dość znaczny na czynnym życiu jednostki, na jej zachowaniu, ruchach, mowie, poglądach i kontaktach społecznych”.

Telewizja posiada o wiele mniejszą siłę sugestii i fascynacji niż film. Używanie telewizora nie ma nie wspólnego z mroczną i magiczną atmosferą sali projekcyjnej. Telewizor jest po prostu niezbyt dużym sprzętem domowym, który można przenosić z miejsca na miejsce. Ekran telewizora w porównaniu z ekranem filmowym jest tylko małym okienkiem, przez które zobaczyć można rzeczywistość o niewielkim formacie i niewielkiej sugestyjności.

EWA NURCZYŃSKA

JADĄ GOŚCIE...

Film „Jadą goście, jadą” wkrótce na łódzkie ekrany jako ostatnia premierowa pozycja Dni Filmu Polskiego. Twierdzą doświadczeni goście, że smak ostatniego dania pozostaje w pamięci najdłużej. Toteż wytrwali konsumenci wreszcie ucieczy ostrzyżem. Film G. Zaleskiego, J. Rutkiewicza i R. Drobaczynskiego, tworzący pod artystycznym patronatem A. Bohdziewicz, wzbudza zatem u jednych widzów absolutną aprobatę, u innych, może trochę wybredniejszych, prowokuje pewne zastrzeżenia.

Jak to bywa z wszystkimi nowelowymi filmami trudno dać całemu filmowi wspólną ocenę (dwóch z dziesięciu gwiazdek ludzi) — nie poddało swej surowej ocenie np.: „Spóźnionych przedmiotów”. Chociaż film „Jadą goście...” spity jest wspólną kłaniam, która jest przyzwiąz i odziedziczoną z trzech naszych rodaków, różna jest wartość poszczególnych no-

Obrazy telewizyjne nie są tak dalekie, nieosiągalne, niedotykane, jak obrazy filmowe. Można je w każdej chwili zmienić i poprawić przy pomocy najwykleszej w świecie gałki. Przy okazji przypomnijmy trafne i dowcipne apostrofy Paula Léautaud, który powiedział kiedyś, iż najpiękniejszym wynalazkiem stworzonym dla obrony indywidualności człowieka jest gu-

zik do wyłączania telewizora. Ale mimo pozorów niewinności także i telewizja ma swoje aspekty negatywne, mogące oddziaływać w płaszczyźnie psychologicznej na człowieka żyjącego w kręgu ikonosfery. Niektórzy uczeni ostrzegają przed szkodliwym, na dłuższą metę, działaniem promieni Rentgena wysyłanych przez aparat telewizyjny, szkodliwym zwłaszcza z punktu widzenia genetyki (i tak stwierdzono eksperymentalnie te szkodliwość na ptakach i na ciężarnej suce, która po dłuższym okresie naświetlania telewizyjnym urodziła sześciorgo szczeniąt: czterech sparaliżowanych i dwa ślepe). Inni uczeni mówią o wzroście liczby ataków epileptycznych u widzów uczulonych na światło, ataków spowodowanych nierównomiernymi wibracjami luminescencyjnego aparatu. Lekarze notują

liczne, szczególnie u osób szczególnie wrażliwych, ataki migren i mdłości. Występują one zwłaszcza wtedy, gdy na ekranie pojawiają się denerwujące zakłócenia świetlne, zmiany intensywności, odwrócone obrazy, itd. Ale pominąwszy te, na szczęście, niezbyt częste wypadki należy zwrócić uwagę na zjawisko o wiele bardziej rozpowszechnione i groźne, zjawisko, które stało się już przedmiotem studiów socjologów i psychologów na całym świecie. Chodzi mianowicie o rosnącą pasywność jednostki, za którą główną odpowiedzialność ponosi telewizja. Pasywność ta polega między innymi na skłonności do rezygnacji z najwygodniejszych zainteresowań, do wyboru najwygodniejszych rozwiązań, do nieangażowania się w trudne sprawy.

„Jakie procesy zachodzą w jednostce, która z czytelnika lub słuchacza zostaje telewizorem?” — zapytuje psycholog Dino Origlia. „Otóż percepcja obrazu telewizyjnego odbywa się w sposób bezpośredni, na płaszczyźnie zmysłów. Nie pozostawia ona jednak miejsca na koordynację, na operację pojęciową. Coś podobnego zdarza się dzieciom, które tkwiąc jeszcze w świecie rzeczy widzialnych i namacalnych odbierają się tak błyskawicznie reakcją percepcyjną, iż przeszkadza im ona w pojęciowej integracji. Podobnie rzecz się ma z telewizorem. Siedzi on przed aparatem i aby kontemplować obrazy musi się nim biernie poddawać. Jedynym chyba środkiem, by z biernego widza przeobrazić

się znów w człowieka — podmiot działający, jest wyłączenie telewizora. Jest wyłączenie telewizora. To oddziaływanie telewizji jest szczególnie niebezpieczne, gdy chodzi o dzieci i młodzież, czyli o wieki, gdy operuje się jeszcze „widzeniem” świata, a nie „poglądem” na świat. Gdy wyobraźnia przeważa nad intelektem. Kilka lat temu przeprowadziliśmy wśród 400 uczniów mediolańskiego gimnazjum ankietę, która przyniosła bardzo interesujące rezultaty. Okazało się bowiem, że kulturalny wpływ telewizji polegał jedynie na dostarczeniu im pewnych wiadomości, fragmentarycznych informacji, pozbawionych głębszego podkładu i często nawet hamujących jakąś inicjatywę pod pretekstem: „Już mnie nie interesuje, bo widziałem to w telewizji”. Z ankiety wynikało, że telewizja absorbuje czas młodzieży na niekorzyść innych i zdrowszych rodzajów rozrywki, i że przeciętnie poświęca się na jej oglądanie 2



godzin 45 minut dziennie. Okazało się także, że rozluźniają się więzy łączące rodziców i dzieci, i że tzw. poważne rozmowy odkłada się na wieczory, w czasie których dają nieciekawą program. A więc w rezultacie „wszystko wokół aparatu staje się mało ważne, marginesowe”.

Telewizja w straszliwy sposób pożera czas ludzki. Nie tylko czas wolny, ale i ten, który należałoby poświęcić na inne rozrywki, na inne zajęcia. Słuchając radia można jednocześnie coś robić, ale oglądając telewizję — nie. Skutki tego stanu rzeczy łatwo można przewidzieć. Okrojony zostaje czas przeznaczony na życie społeczne i obywatelskie, ogranicza się kontakty z przyjaciółmi, rezygnuje się z pracy nad sobą, z godzin przeznaczonych na lekturę.

Według danych ankiety przeprowadzonej niedawno w USA, już tylko jedna czwarta dorosłej ludności czyta przynajmniej jedną książkę na miesiąc. Zaś z innych danych zebranych w oparciu o różnorodne ankiety wynika, że nieustannie wzrasta ilość godzin przeznaczonych na oglądanie programów telewizyjnych we wszystkich krajach świata (we Francji od 16 godzin tygodniowo w 1949, do 57 w 1961; we Włoszech obecnie około 60 godzin tygodniowo); że każdy Amerykanin konsumuje w ciągu tygodnia 18 godzin programu rozrywkowego TV i że rocznie ludność traci na telewizję około 200 miliardów godzin (należy wziąć pod uwagę, że w grę wchodzi tu mniej więcej jedna czwarta mieszkańców naszego globu).

Co stanie się z człowiekiem

współczesnym, jeśli przyzwyczai się on do codziennego nadziewania telewizji? Być może przeobrazi się on w automat konsumujący obrazy z taką samą nonszalancją jak chleb i wodę, w osobnika, który świadomość siebie zdobywa za pośrednictwem szklanego ekranu, w istotę, o której parafrazując Kartezjusza powiedziałby można: „Patrzę, więc jestem”. A działalność zmysłów człowieka ograniczy się do jednej tylko gigantycznej rozrośniętej funkcji patrzenia. Stanie się on „ogłupiającym” par excellence. Jakże najbardziej groźne zmiany zajądą w człowieku w miarę wzrastania jego pasywności? Na to pytnie odpowiada znów Cohen-Seal:

„O, zmiany te będą liczne i przerazające. Przede wszystkim straci on poczucie historyczności i całe jego życie sprowadzone zostanie na płaszczyznę teraźniejszości. Dla człowieka żyjącego w ikonosferze wypadek samolotowy ma o wiele większe znaczenie niż Rewolucja Francuska. Zmienia się zupełnie horyzont człowieka. Będzie on oczekiwał dnia jutrzejszego, by poprzez informacje dowiedzieć się o tym co się dzieje. Ale w istocie to nie on zdobywa informację, to informacja go zalewa. Stąd rodzi się uczucie niepokoju rosnącego z każdym dniem i nie kończącego się nigdy. A potem straci on poczucie rzeczywistości, ponieważ telewizja rzuca go w fałszywe światy obrazów i „gdzie indziej” nabierze dlań większego znaczenia niż „tu”. Wreszcie padnie on ofiarą skrajnej, klinicznej alienacji, ponieważ jego poczynania i poglądy nie będą już zależały od niego samego, ale będą mu sugerowane przez szklany ekran”.

Czy owa magiczna niematerialna ikonosfera jest już w tej chwili tak niebezpieczna, iż zagraża naszej integralności w sensie moralnym, emocjonalnym i intelektualnym?

Tak — odpowiada Cohen-Seal. — O ile tak daleko pójdzie to za 10 lat ludzkość spodzajeć będzie tysięcy miliardów godzin przed telewizorami. Oznacza to, że w ciągu tysięcy miliardów godzin ludzkość pozostanie całkowicie niema i nieruchoma i całe życie naszego globu ucieknie, by oddać głosu aparatowi telewizyjnym. Ale ta apokaliptyczna wizja, prawdę powiedziawszy, może się nie spełnić, albowiem dwie rzeczy mogą nas ocalić. Po pierwsze ludzkość prawdopodobnie ogarnie uczucie przytępienia. Po drugie, a jest to sprawa znacznie ważniejsza, techniki filmowe i telewizyjne są dopiero w początkowym stadium swego rozwoju, w okresie niemożliwego. Nowe wielkie wynalazki, dalszy postęp techniki zmieniają podstawy i naturę tych dwu gigantycznych środków informacji. I o ile tak się stanie, o czym jestem głęboko przekonany, wówczas spodziewane tysiące miliardów godzin przed telewizorami nie będzie już rzeczą groźną, gdyż ludzkość korzystając będzie wtedy z informacji wizualnej, bardziej użytecznej, bardziej poważnej, a przede wszystkim bardziej przysposobionej do natury człowieka”.

Według tyg. „Epoca”

cyjnych towarzyszek do zwiedzenia czystego kraju, a właściwie ojczyściych lokalnych rozrywkowych. Przystojny a słupawy i dobroduszny Mike O'Rawce (Mitchell Kowal) będzie miał z kolei sporo zmartwień przy wyborze żony wśród góralskich piękności, ze względu na ilość ciętych i nieznanych amatorów usiłujących najprywiejszej i zawziętych do Nowego Świata oprócz żony już sporo wyróżnionych kandydatów na nowego rodaka z Ameryki.

Harry Kwaśnick (Zygmunt Zintel) robiący w Polsce buisness, to świetna, choć karykaturalna, sylwetka rodaka, który nie udaje się przyswoić amerykański zmysł do interesów i probowien przy każdej, nieprawdopodobnej nawet okazji. Zabierając na handel wśród amerykańskich rodaków ziemię z pół historycznych bitew kieruje się jednak swoistą lojalnością — chce istotnie ziemię spod Legnicy, z Psiego Pola i Grunwaldu. Jego krajowi pobratymcy nie będą mieli tego rodzaju kłopotów.

Film „Jadą goście, jadą” — miał być w zamierzeniu twórców komedia obyczajowa, a stał się komedią satyryczną, ocierającą się chwilami o groteskę.

Cięta satyra, na pewno godna pochwały za odwagę i dowcip przekracza jednak chwilami granicę, która zwykło się nazywać dobrym smakiem. Stąd np. pewne opory, które wzbudza nowela druga. Polacy lubią pić, to nie jest tajemnica również i dla zagranicy. Obraz światła góralskiego goszczącego O'Rawce budzi jednak obrzy-

wienie. Lejając się wódka i piwo, ludzie będący prawie w stanie delirium — to stało się w pewnym momencie nie do strawienia, nawet w satyrze.

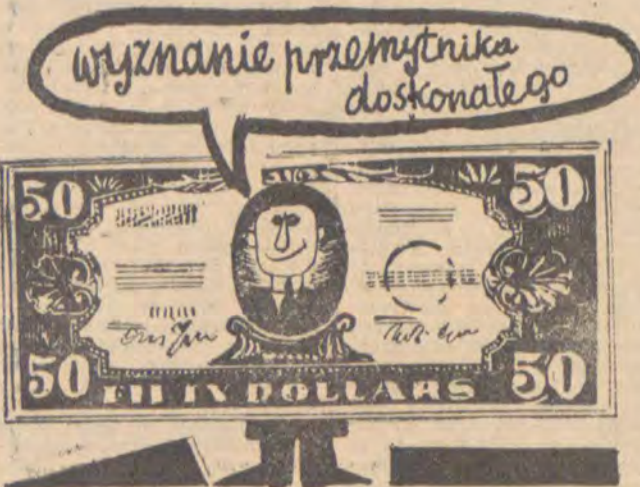
Wydało się, że nawet przy tak satyrycznym ujęciu tematu można było pozwolić sobie na odrobinę ciepła wobec niektórych postaci. Jedynie w pierwszej, zresztą chyba najlepszej, noweli ukazano jakieś ludzkie instynkty bohaterów.

Autorzy filmu goniąc za czysto humorystycznym efektem, gubią linie dramatyczne, tworząc film epizodów (w ramach każdej noweli). Udało się tego uniknąć jedynie w góralskiej części filmu. Twórcy filmu czują tylko na korzystną sytuację, mogąca stworzyć nowy epizod z satyryczną pointą skierowaną w stronę Polaków-ubliżonych. Polacy-przybysze rzadziej są też satyrycznej celności reżyserów poddani kreskom — portrety wychodzą wtedy lepsze.

Dobrze jest czasami przełazić się w krzywym zwierciadle, dlatego bardzo słusznie, że ktoś zechciał to zwierciadło podnieść. Czekamy teraz jednak na komedię wesołego genu i trochę wybredniejszego dowcipu. Może te nadzieje spełni czekająca na nas „Dziewczyna z dobrego domu” A. Bohdziewicz.

odgłosu

str. 3



Już tytuł mówi, że niniejsza rozprawa, będąca o przemyśle, ze względu na zrozumiałych nie podamy ani nazwiska, ani zawodu naszego rozmówcy. Tym niemniej jego wyznanie, a także doświadczenia lat ubiegłych wskazują, że są ludzie, którzy z przemytu uczynili proceder. Narodził się więc nowy „zawód”. I to zjawisko chcieliśmy za sygnalizować.

— Wyjechać za granicę potrafi każdy głupi, zarobić na wyjeździe zagranicznym — to już sztuka. Najważniejsza jednak sprawa to technika. Dyletant słysząc, że w Anglii „idzie” pierze wzięłyby na plecy pierzynę, narażając się na kłopoty, śmiech i kpiny. Człowiek rozsądny inaczej sobie poczyni.

Wyjeżdżając do Londynu we wrześniu już w kwietniu znajomym na ulicy odpowiada dając na stereotypowe: „co słychać” mówi: „We wrześniu jadę do Anglii”. Tego rodzaju informacja to nie snobistyczna chęć imponowania bliźnim, to prawie że naukowa metoda przygotowania gruntu pod operację zwaną: „wymiana dewiz”.

Wojna, proszę państwa, przygotowała bazę — dziś bez przesady rzecz można, że co piąty Polak na Wyspach Brytyjskich posiada krewnych lub serdecznych przyjaciół, ci znów z kolei użalają się nad losem w kraju pozostających, że: dom zniszczony, zarobki małe, gruzlica i prawie duża dzielnica siatkują rodziny w Polsce. Więc choć tym polskim Anglikom samym nie jest lekko, rodzinie jednak pomagają.

Od kwietnia do września — szmat czasu. Zawsze się ktoś znajduje, z kim można załatwić prostą choć karalną transakcję.

— Ile panu ciocia obiecała przysłać? — 33,3 funta? To akurat 100 dolarów. W porządku. Niech pan da list do cioci, ciocia dolary wypłaci mi w Londynie, a ja tu panu — złote po wyższym niż PKO kursie.

Gdy takich listów weźmie się pięć z dewizami na Wyspie kłopotu nie będzie i pierwszy do Londynu wieść nie trzeba.

Dlaczego akurat we wrześniu? Miesiąc ten na swe wyjazdy, także oficjalnie wyjazdami rodzinnymi zwane, wybrałem dlatego, że poprzedzają go sierpień i lipiec. W lipcu i w sierpniu rodacy z Anglii i Szkocji kraj rodzinny odwiedzają. Spotkać ich można w recepcji Grand Hotelu, spotkać ich można w wąskim korytarzyku Biura Ewidencji Cu dzoziemców w Łodzi. Przeważnie są „goli i bosi” — przyjechali do rodzin, którzy ra prezenty przyjęli ale nie kwapi się z rewansem — pieniążków brak, chętnie więc korzystają z udzielonej im do września pożyczki. Ryzyko raczej małe, a profit duży, bo kurs obli-

czy się wtedy poniżej kursu pekaowskiego. Under-stand? A więc pierzyna niepotrzebna — na Wyspach Brytyjskich we wrześniu przyjeżdżającego oczekuje plik zielonkawych banknotów z miłym nadrukiem: „Bank of England”.

Ten system stosować się da do każdego z innych krajów także. Akcję przygotowania zasobów dewizowych mamy poza sobą. Przez granicę przejeżdża człowiek czysty, choć nie biedny. Bo oto prócz walorów oficjalnie wymienionych w NBP można wywieźć jeszcze dewizy otrzymane dodatkowo w związku ze... złym stanem zdrowia — na zakup leków, aparatury dla źle słyszących, lub okularów. Ta droga dodatkowego zaopatrzenia w dewizy jest na pewno uciążliwa, ale przecież i ona się opłaca jako że groźba do grosza i jest karoca, albo jak kto woli — ładny samochód.

A propos samochód. Czy wie pan, w jaki sposób można do niego dojechać krewni z zagranicy? Nie wie pan? Proste — przyjeżdża wujek, brat, szwagier albo ciocia nowym „Heraldem”. Wieczorem, najlepiej w małym mieście, wybiera się stół telefoniczny, „przymierza się” do niego samochód i niezbyt szybko „na 40”, wali pan prawym reflektorem w stulepie. Efekt? Próżno samochodem w harmonijce — jednym słowem samochód zniszczony. Do tego tylko jeszcze trzeba zaopatrzyć się w protokół stwierdzający zniszczenie samochodu. Rzekomy wrak po wykolepaniu blachy wygląda z powrotem jak nowy i wozu pana od Sopotu do Zakopanego. Głowa tylko musi być na karku.

Albo powróćmy do Londynu. Mając 500 funtów, ma się 1350 dolarów. Te pieniądze należy gdzieś „zasadzić”, by owocowały. Najlepiej w... kwiatach. Goździki czy tulipany to piękny interes — pachnący... zarobkiem. Ze niby skąd kwiaty? Najlepiej z Brukseli ale w Londynie daje się zlecenie, w Londynie się wpłaca. I znów sprawa bardzo prosta — nasze pegeerowskie kwiatciarnie pracują z łaski na uciechę. Wtedy kiedy trzeba — kwiatów nikt nie ma, a przecież w grudniu mamy imieniny Barbary, Ewy, Adama, Mikołaja, Marii, Tomasza, i Sabiny, w styczniu — Mieczysława, Edwarda, Andrzeja, Lucjana, Wincentego, Marii, Henryka, Ludwika, w lutym: Ignacego, i znów Marii, Andrzeja, Juliana, Katarzyny, Leona, Piotra, Romana i Romanę. Tylko kwiaty kupować i tylko je sprzedawać. Londyn dał przekaz do Brukseli, a z Brukseli „Sabena” i

„Lotem”, „Sasem” czy „KLM-em” ślą kwiatki do Polski. Prywatnie, warszawskie kwiatciarnie już czekają. Tam kwiatek kosztował 10 centów, w Warszawie kwiatek kosztuje 25 zł — relacja wymienna bardzo dogodna. Ktoś kto w Londynie tracił 1350 dolarów w kraju na czysto, po obliczeniu kosztów własnych i po odliczeniu marży zarobkowej w kwiatciarstwie inkasuje na rękę 256 tysięcy złotych polskich. Za 1350 dolarów za płać 128 tysięcy złotych, płać za dolar po 80 złotych. Jest zarobek? Daj Boże zdrowie!

Skarpetki, proszę pana, już dużo gorszy interes. Raz przyjdzie do Łodzi paczka adresowana na nazwisko pani J. innym razem — na nazwisko pani R. Tak czy inaczej skarpetki oddać trzeba do komisji, a po roku domiar przychodzi — Wydział Finansowy nie zna się na żartach, jeszcze każą karę handlową wykupić. Kłopot. Skarpetki to interes przesyłny.

Wyjeżdżając indywidualnie niech pan o kielbasie nie zapomina. Dobra kielbasa to połowa powodzenia w życiu. Specjalnie gdy nadziewana jest „twardymi” — mowa o dolarach. Można

Można zacząć od opisu. Ale nie trzeba. Sanok podobny jest do innych powiatowych miast. Tak samo jak wszędzie, rynek, centralna handlowa ulica, muzeum sztuki ludowej i duży zakład produkcyjny — serce miasta. Położony na jego krańcach, jest tym czynnikiem, który reguluje życie Sanoka i okolic.

Położenie Autosanu nie jest najszczęśliwsze. Główna szosa bieszczadzka i tory kolejowe, rzeka San i pobliskie góry, ograniczają terytorium zakładu, ograniczają jego rozbudowę. Zakład się rozrasta, potrzebuje przestrzeni, gnieździ się pomiędzy szosą i torami, rzeką i pagórkami, jak wyrosnięty chłopak w ubrańniu młodszego brata. Ale na ten stan rzeczy nikt nie może zaradzić. Wszelkie inwestycje w takich warunkach byłyby zbyt kosztowne. Nieoptymalne. Dlatego też druga część zakładu — oddział produkcyjny różnego rodzaju przemyśle samochodowe, przeniesiono do miejscowości oddległej od fabryki o półtora kilometra. Gdyby fabryka w Sanoku była zakładem nowym, można byłoby mieć pretensje do tych, którzy na mapie uprzemysłowienia Bieszczad oznaczyli właśnie to miejsce na fabrykę autobusów. Ale Autosan — jest starym zakładem, liczącym sobie nie mniej, ni więcej, tylko 130 lat!

Po upadku powstania listopadowego (1831) dwaj uczestnicy tego powstania Walenty Lipiński i Mateusz Beksiński, dla uniknięcia represji, zbiegli z zaboru rosyjskiego i przybyli na teren Galicji do Sanoka. W poszukiwaniu warunków do życia, założyli niewielki warsztat kowalsko-kotlarski. Wykonywali w nim różne narzędzia dla potrzeb okolicznych rolników. Był to okres poszukiwań i wierceń geologów, odkrywających na Podkarpaciu i w Bieszczadach kopalnię ropy naftowej. Im więcej wyrastało, więc wiertniczych, tym więcej potrzebowano narzędzi dla przemysłu naftowego. Tak więc, jak byśmy to dziś określili, zmienili się asortyment produkcji warsztatu panów Lipińskiego i Beksińskiego. Z usług kowalskich, od produkcji plugów i „bron”, przeszli dwaj rzemieślnicy zatrudniający coraz to więcej robotników do produkcji zbiorników na ropę naftową i narzędzi wiertniczych. Już teraz mówić można nie o warsztacie, ale o fabryce, która w 1891 roku po otrzymaniu pierwszego zamówienia na wagony towarowe dla Dyrekcji Kolejowej Krakowskiej, wchodzi w nowy okres swego rozwoju.

W trzy lata później (1894) utworzono spółkę akcyjną, a fabryka w Sanoku stała się jedynym zakładem produkującym wagony i maszyny kolejowe w Galicji. W niewielkich halach, po których zo-

stały tylko zabytkowe ruiny, pokazywane zresztą nie bez dumy każdemu, kto zwiedza Autosan — wyrabiano tramwaje, wózki dla kolejek wąskotorowych, a nawet konstrukcje stalowe mostów kolejowych.

Po wybuchu pierwszej wojny światowej produkcja fabryki zostaje nieco zahamowana i dopiero w 1918 roku rozpoczyna się dalsza jej rozbudowa w związku z wejściem fabryki w skład międzynarodowego koncernu „Zjednoczone Fabryki Maszyn i Kotłów Zieleniewski-Fitzner i Gampier Spółka Akcyjna”.

Podczas wojny Niemcy przekształcili fabrykę w jedną z największych baz remontowych czołgów. Uszkodzone, pogruchotane „Tysy” miały tu być doprowadzane do stanu dawnej świetności. Ale większość z nich opuszczała bazę remontową z wieloma usterekami. Była to zasługa sanockich robotników, na każdym kroku sabotujących na-

Wybrałem się na przejażdżkę autobusem PKS. Nieważne było dokąd i jak długo będę jechał. Chciałem pojechać. Brzmiało to zapewne zaskakująco i nienormalnie. Eskapada za jedynym siedem złotych z groszami w zatłoczonym autobusie, wśród koszy, koszyków, tłumów. Potem wsiałem jeszcze do autobusu MPK. Też tylko po to, aby pojechać i wrócić. Ale nie było to bezcelowe wycieczki. Wsiadałem zawsze do określonego autobusu. Nie chciałem jechać czeską „Carosą”, wysiłkowym „Chaussonem”, „Ikarusem” czy wytwornym „Flatem”, ale właśnie „Sanem” — autobusem polskiej produkcji.

Z zeszytem pełnym notatek i uwag pasażera, użytkownika „Sanu” pojechałem do Sanoka. Do fabryki autobusów.

9 sierpnia 1944 roku Niemcy wysadzają w powietrze sanocką fabrykę. 80 procent maszyn i urządzeń ulega zniszczeniu. Pozostała część zakładu niszczy pożar. Potem jest tak, jak wszędzie w całej Polsce. Z gruzów, ze zgliszcz, w przerażająco ciężkich warunkach Bieszczad, fabryka zostaje odbudowana. Do tej pory starzy robotnicy wspominają tamte niełatwe dni i z uśmiechem opowiadają o pierwszych wyprodukowanych wozach. Były to wozy strażackie. Bezcenny, wozy pożarnicze. Potem zgodnie z przedwojenną tradycją fabryka otrzymuje zamówienia na tramwaje. Na uroczystym otwarciu trasy W-Z, pierwszy tramwaj, który przejechał tą szosą, był wyprodukowany w Sanoku. Ale jak

się powiedziało sanocka fabryka miała w zwyczaju szybkie przestawianie się na nową produkcję. Tym razem były to autobusy i przyczepy samochodowe. Tej produkcji zakład jest wierny i mój nadzieję, nieprędko ją porzuci. Już 10,000 „Sanów” jeździ po naszych drogach. Do dziś wyprodukowano 90 tysięcy przyczep. Rocznie Autosan opuszcza 2,000 autobusów i 10,000 przyczep.

Dyrektor i przewodniczący Rady Robotniczej oprowadzają mnie po halach. Zwiędziały, rzeczowe informacje techniczne, przepiękne są historią zakładu. Ta stara i ta nowa.

— Obecnie zorganizowaliśmy Miesiąc BHP. Wzwalaliśmy do współzawodniczą wszystkie oddziały. Punktuje się czystość na stanowiskach pracy, no i przede wszystkim ilość wypadków, które od czasu do czasu zdarzają się w wielkim zakładzie. Mamy na jednym oddziale takiego pechowca, któremu zawsze się coś wydarzy, na szczęście jak do tej pory, nie groźnego. Ale każde nawet najdrobniejsze zadrągnięcie liczone jest jako

niebezpieczna konstrukcja (tzw. re-mowa), podczas gdy SAN posiada konstrukcję lekką (tzw. nośną). Dlatego też SAN jest przeznaczony głównie do komunikacji miejskiej i podmiejskiej i to na terenach równych. Właby silnik Sana, który na płaskich drogach osiąga bez trudu znaczne szybkości, w górach krzusi się i kaszle. — „Ale już niedługo, będziemy mieli: nowy silnik dieselski. Na ropę. Wprawdzie już rok czekamy na niego, ale chyba się doczekamy” — mówi dyrektor. — „A wtedy inne autobusy, będą musiały nam się nieco kłaniać”. Jakby na potwierdzenie tych słów dyrektor prowadzi mnie do białoczerwonego autobusu, w którym gdybym go nie znalazł, z niemałym trudem rozpoznałbym Sana.

„To nasz prototyp z nowym silnikiem. Możemy w tej chwili wyjechać na szosę i mówić panu, że nie boję się ani „Carosy”, ani „Fiata”. I to wszędzie. W górach i na równinie”.

„Chcielibyśmy już produkować go seryjnie. Zwalazając, że zagrożeniu kupcy stale się o niego dopytują. My obiecujemy, że już wkrótce, no, ale co zrobić, gdy Starachowice nie dostarczają nowych silników”. Tuż za prototypem nowego autobusu stoją długim rzędem istne cudenka. Mikrobusy „Nysa” — tak zwane „tropiki”. Fabryka w Sanoku produkuje do nich nadwozia. I to jeszcze jakieś!!!

Chodzę wokół, oglądam, gratuluję dyrektorowi i podziwiam. Nareszcie wykończony wóz dorównuje estetyce i solidności wozom zachodnim. Nikłowe, efektowne listwy, listewki, wygodne siedzenia, firaneczki z tworzywa sztucznego, dodatkowy daszek chroniący wóz przed zbytnim nagrzaniem i jeszcze szereg dodatków i dodatków, małych efektownych szczegółów, czyniących z mikrobusu prawdziwe cacko. — „Ale to wszystko nie dla nas” — stwierdzam ze smutkiem.

— „Tropik” jest makrobusiem nieprzystatnym w Polsce. Nie ten klimat” — mówi dyrektor. — „A poza tym, pan rozumie, musimy zdobywać rynki zagraniczne. W tym roku po raz pierwszy rozpoczęliśmy produkcję na eksport. Mamy zamówienia na 300 mikrobusów i 220 autobusów. Sporo z tym kłopotów... no, bo każdy odbiorca ma swoje wymagania. Na przykład Kubańczycy chcą w autobusach moeniejsze zderzaki. A na naszej „nośnej” konstrukcji trudno osadzić ciężkie stalowe zderzaki. Posłaliśmy eksperta do Kuby, który ku naszej rozpaczy napisał nam w swym sprawozdaniu, że zderzaki autobusowe, spełniające tam rolę maszynowych zderzaków pociągowych.

Albo sorawa szyb. Odbiorcy chcą mieć szyb panoramiczne. Sredni autobus naturalnie nie może konkurować z dużymi, choć „Sanowi” to się w wielu wypadkach z powodzeniem udaje. Duże autobusy mają silniejsze silniki, inną, moc-

punkt ujemny, we współzawodnictwie. Ponieważ oddział ten miałby szanse na zajęcie pierwszego miejsca, gdyby nie ten „pechowiec”, to wie pan, co zrobił kierownik oddziału? Wysłał naszego „pechowca” — na miesięczny urlop. Wypadku żadnego nie będzie, a oddział zajmie chyba pierwsze miejsce we współzawodnictwie”.

„SAN” — jest autobusem średnim, w odróżnieniu od na przykład „Flatów”, „Royal Tigerów” czy „Caros”, które są autobusami dużymi. Ta polska specjalizacja jest między innymi wynikiem planowego rozmieszczenia produkcji w krajach socjalistycznych. Sredni autobus naturalnie nie może konkurować z dużymi, choć „Sanowi” to się w wielu wypadkach z powodzeniem udaje. Duże autobusy mają silniejsze silniki, inną, moc-

złoty zarobek w roku. Jakiś się żyło, a przy sposobności człowiek i obce kraje pozna i w jakich był knajpach. Urwało się. Trafiałem na „swojego” — celnik miał wyjątkowego nosa. Znalazł to i owo z biżuterii i nie chciał uwierzyć, że to pamiątki rodzinne, które bałem się pozostawić w kraju bez opieki. Teraz chyba paszportu już nie wydadzą. Cóż? Trzeba będzie o interesach w kraju pomyśleć.

Ano tak, moi Drodzy Czytelnicy. Są jeszcze tacy, turyści, którzy po trzy-cztery razy w roku za granicę wyjeżdżają „dla przyjemności” — od czasu do czasu wywołują takiego celnika przy wyjeździe lub powrocie do kraju. Ale większość podróżuje z kielbasą w walizce.

— „Lotem”, „Sasem” czy „KLM-em” ślą kwiatki do Polski. Prywatnie, warszawskie kwiatciarnie już czekają. Tam kwiatek kosztował 10 centów, w Warszawie kwiatek kosztuje 25 zł — relacja wymienna bardzo dogodna. Ktoś kto w Londynie tracił 1350 dolarów w kraju na czysto, po obliczeniu kosztów własnych i po odliczeniu marży zarobkowej w kwiatciarstwie inkasuje na rękę 256 tysięcy złotych polskich. Za 1350 dolarów za płać 128 tysięcy złotych, płać za dolar po 80 złotych. Jest zarobek? Daj Boże zdrowie!

Skarpetki, proszę pana, już dużo gorszy interes. Raz przyjdzie do Łodzi paczka adresowana na nazwisko pani J. innym razem — na nazwisko pani R. Tak czy inaczej skarpetki oddać trzeba do komisji, a po roku domiar przychodzi — Wydział Finansowy nie zna się na żartach, jeszcze każą karę handlową wykupić. Kłopot. Skarpetki to interes przesyłny.

Wyjeżdżając indywidualnie niech pan o kielbasie nie zapomina. Dobra kielbasa to połowa powodzenia w życiu. Specjalnie gdy nadziewana jest „twardymi” — mowa o dolarach. Można

— „Lotem”, „Sasem” czy „KLM-em” ślą kwiatki do Polski. Prywatnie, warszawskie kwiatciarnie już czekają. Tam kwiatek kosztował 10 centów, w Warszawie kwiatek kosztuje 25 zł — relacja wymienna bardzo dogodna. Ktoś kto w Londynie tracił 1350 dolarów w kraju na czysto, po obliczeniu kosztów własnych i po odliczeniu marży zarobkowej w kwiatciarstwie inkasuje na rękę 256 tysięcy złotych polskich. Za 1350 dolarów za płać 128 tysięcy złotych, płać za dolar po 80 złotych. Jest zarobek? Daj Boże zdrowie!

Skarpetki, proszę pana, już dużo gorszy interes. Raz przyjdzie do Łodzi paczka adresowana na nazwisko pani J. innym razem — na nazwisko pani R. Tak czy inaczej skarpetki oddać trzeba do komisji, a po roku domiar przychodzi — Wydział Finansowy nie zna się na żartach, jeszcze każą karę handlową wykupić. Kłopot. Skarpetki to interes przesyłny.

Wiersze poetów kubańskich

przełożył MARIAN PIECHAL

HERBERTO PADILLA

HISZPANIA WOLNA I W OKOWACH

Hiszpanio,
nie mogę przestać myśleć o Tobie
w momencie takim jak dziś.
Patrz, jak jesteśmy dobrze osadzeni
między naszymi kamieniami,
my, Twoi synowie Kuby.

My zapalimy ogień wysoko, na szczycie,
będziemy walczyć aż zatopi nas miłość.
(Wszystko, co mamy,
to walczyć, aby zwyciężyć).

Nie chcę otwierać drzwi
ni wychodzić na ulicę do swoich
bez pamiętania o Tobie.
(Jakim szczęściem jest nasze teraz?)
Jeśli Cię okłamuje niech się spali
ze wstydu.

Matko pognębiona, rozpaczni!
Zwróć światło, głos, miecz
tym wszystkim co błądzą, z Twoim imieniem w sercu.
Oni rozploną jak węgiel!

NIVARIA TEJERA

NIE MA NIKOGO

Nie ma nikogo.
Od czasu wojny w 1936 nie ma nikogo na świecie
w moim małym czarnym domku.
Świat cały jest pusty
Od czasu wojny w 1936.
Jestem przepaścią tej brudnej wody.
Wypłakuję tę wodę podobną do ziemi.
Polykam małymi haustami tę brudną wodę.
Mój syn był dobrym chłopcem.
Zanurzony po oczy w kurzu księżycy
Słuchał jakby to były uderzenia młota
Muzyki nadchodzącej z oddali jego dzieciństwa
Gdzie zamieszkiwał nie opuszczając go nigdy.
W głębi rzeki z niebieskich kamyków
Jak w objęciu czułości.
I nagle zniknął
W niebie ostrzelanym przez wojnę.
Patrzę na Ziemię, która płonie, mój chłopce,
która płonie.
Patrzę na wszystko, co kocham, jak niknie za
horyzontem ziemi bez barwy.
I widzę siebie znikającą między tymi chmurami w 1936
Podczas kiedy idę tam gdzie idą ślepi
I krzyczę: „Ludzie! Ludzie!”
Zegnaj, koniu, który patrzysz na mnie gdy przechodzi
pociąg.
Zegnaj ty, Janie Machinchose, który patrzysz na mnie
gdy przechodzi pociąg.
Zegnaj
Ty
Który schodzisz z pociągu z koszykiem pełnym chleba
i owoców
I który idziesz wielkimi krokami do swej pracy na
godzinie czternastą
I który na mnie nie patrzysz:
Zegnaj!
Ja także idę gdzieś, nie wiem gdzie,
Tam, gdzie mnie pociąg unosi.
Tam pewnie
Gdzie się spotkamy.
Zegnaj.

ABELARDO PINERO

ZNAM PTAKA

Znam ja znam czarnego ptaka
który płacząc może zabić
znam też ptaka czerwonego
który śpiwając umiera
Gniazdem dla krwi mojej oto
czym jest zawsze ptak czerwony
Lecz ptak czarny chce krwi mojej
aby uwić swoje gniazdo
Gdy jest głodny ptak czerwony
fruwa szybko i wysoko
a gdy głodny jest ptak czarny
pożera swe własne dzieci
Ze słońcem na swoich skrzydłach
leci w błękit ptak czerwony
przelatuje przed mym oknem
wzwyż wzbijając się ptak czarny
Hen daleko poza palmy
ku górcom się oddaliły
odlatując swym przelotem
fabryki oraz cementarze
Myśliwce co idziesz w góry
twa strzelba posiada cenę
i twa gruba kieszka żywi
się kulami abecadla
Aż raz jeden w zagajniku
mówię do czarnego ptaka
by nie latał przed mym oknem
moja strzelba nie ma ceny
Gdy przypadkiem z gór powrócisz
poplamiony krwią niewinną
i zobaczysz mnie przy oknie
przygotuj potężną strzelbę
bo z ust moich wyfruwając
wyjdzie z mojej krwi gorącej
Inny ptak czerwony który
osładzi na twoim czole

EWA SULIBORSKA

Schillerowskie przedsta-
wienie „Igraszek z diabłem”
Jana Drdy obrosło legen-
dą. Legendą znakomitej in-
scenizacji i wielkich krea-
cji aktorskich. Mówi się o
nim jako o świetnym doko-
naniu artystycznym, powo-
luje się jego przykład, gdy
mowa o pewnych charakte-
rystycznych cechach powo-
jennej twórczości Leona
Schillera.

Po blisko czterech lat-
tach („Igraszki z diabłem”
grane były w Teatrze Wojs-
ka Polskiego w sezonie tea-
tralnym 1948-1949) wznowio-
na w Teatrze im. Stefana
Jaracza *) inscenizacja ko-
medii Jana Drdy jest chy-
ba dobrą okazją do konfron-
tacji. Konfrontacji zmierz-
ającej bynajmniej nie tylko
w miłym kierunku obalenia
legend.

Mimo, że nie jest to pierw-
sze wznowienie schillerow-
skich inscenizacji (wspomi-
nijmy tylko „Krakowiaków
i górali” czy „Kram z pio-
senkami”), powtórne poka-
zanie tej komedii stawia
znowu problem szans teatru
który Leon Schiller propo-
nował. Szans, które, jak wy-
nika z dyskusji na temat
oblicza współczesnego teat-
ru, wciąż na nowo wartę są
rozpatrzenia.

Sztuką Drdy, związaną z
czeskim folklorem, posłużył
się Schiller jako wdzięcz-
nym pretekstem. Na jej
tekście oparł widownię zo-
pełnie różne od tego, które

pokazał Aleks Podhorski w
1945 roku na pierwszej pre-
mierze „Igraszek z diabłem”.
Spektakl, dodajmy, zreali-
zowanym zgodnie z intencją
mi twórcy komedii. Tekst
dostarczył bowiem Schille-
rowi tylko koniecznego ma-
teriału. Przedstawienie oparł
na wzorze teatru ludowego.
Na widownię jarmarcznych.
Temu wzorowi przyporząd-
kował akcję, scenografię i
muzykę.

W kształcie widowiska jar-
marchnego przygody Marci-
na Kabata nabrały wdzięku
i naiwności ludowej opo-

ty współczesnego widowiska
teatralnego, zgodny z zało-
żeniami odnowy teatru w
duchu Craiga.

„Igraszki z diabłem” są
głęboko osadzone w tra-
dycji teatru ludowego.
Tak jak głęboko osadzone
w tradycji takiego teatru
jest choćby w dramaturgii
polskiej „Zaczarowane koło”
Rydla, żeby wymienić utwór
najbardziej zbliżony do ko-
medii Drdy.

Patrząc na komedię Drdy
w kształcie jaki nadał jej
Leon Schiller, jasno uzmy-
ślawia się rozwój i kierunek

ment w dyskusji o szansie
tego typu teatru, szansie,
która leży nie tyle w pro-
porcjach treściowych ile w
arsenale chwytów i środ-
ków przedstawiania, jakimi
teatr ten dysponuje.

Może być także pozytyw-
ną próbą stworzenia trady-
cji pokazywania co pewien
czas na nowo wielkich osią-
gnięć polskiego teatru. Tra-
dycji na pewno potrzebnej
do podjęcia zarówno rozra-
chunków jak i wyciągnię-
cia koniecznych nauk. I
dlatego decyzję pokazania
„Igraszek z diabłem” nale-
ży pochwalić.

Tym więcej, że Feliks Zu-
kowski, schillerowski Kabat,
reżyserując komedię Drdy
zrobił wszystko, by powtó-
rzyć z pietetyzmem pierwszą
inscenizację sztuki. Słusznie
sądząc, że tylko dosłowne
powtórzenie może mieć
szansę powodzenia.

Dzięki temu oglądamy u-
roczą scenografię i kostiu-
my Ottona Axera, słuchamy
zabawnej muzyki Kieszewet-
tera i Raczkowskiego, bę-
dąc jednocześnie świadka-
mi kilku niewątpliwych o-
siągnięć aktorskich: Sochnac-
kiego (Lucjusza), Cwikliń-
skiego (Korborunda), Obid-
niaka, (Omnimora), Kwas-
kowskiego (Sarki-Farki),
Iwińskiego (Kabata) i wresz-
cie samego Żukowskiego
(Belzebuba).

*) Teatr im. Stefana Jara-
cza — Jan Drda — „Igrasz-
ki z diabłem” insc. L. Schil-
ler, reż. Feliks Żukowski,
scenografia Otto Axer.

SZANSA TEATRU

wieści „o żołnierzu, co bo-
rem, lasem...” Opowieści u-
branej we wszystkie niezbęd-
ne akcesoria: w przypowieści
ci ludowe, jak choćby ta „o
młynie, co to w nim strasz-
szy” i w typowych bohate-
rów; zbója, pustelnika, w
diabły i w aniołów. Wypo-
sążonej w moralitet (skar-
cenie Sarki — Farki) i wy-
mowę zgodną z katechiz-
mem: jak to dobro zwy-
cięża nad złem.

Schiller pokazał w „Igrasz-
kach z diabłem” piękny, wy-
stylizowany teatr ludowy;
w miarę sprostny, w miarę
liryczny, zabawnie traktu-
jący problemy człowieka. Za-
wierający wszystkie elemen-

w jakim teatrze wyrosły z
tych tradycji się rozwija. Co
pozostało w nim martwe, co
ma szansę przetrwania?
Trudno na pytanie to dać
jednoznaczną odpowiedź.
Konfrontacja, jakiej okazję
stwarza przedstawienie,
wskazuje chyba na fakt, że
współczesnemu widzowi nie
wystarczy tylko przesuw-
anie się plam barwnych w
obrazie scenicznym, że oczek-
uje od teatru także pro-
pozycji intelektualnych. Że
przełatać wystarczająco ruch
i kolor, że żądania współ-
czesnego widza są większe.

Przedstawienie w Teatrze
Jaracza może posłużyć za
lekcję historii. I za argu-

sedno rzecz MARIAN PIECHAL

Niektóre współczesne utwo-
ry dla dzieci przypominają
mi po trosze zatrute cukierki.
Oczywiście ich (tych u-
tworów) autorzy mają inten-
cję może jak najpociesz-
szą, kiedy im rozeznania nie
stało w tym, co robia. I do-
tyczy to nie raz autorów z tak
zwanym poziomem i talentem.
Przykład? Proszę bardzo.

Wyszedł przed paru tygod-
niami dwie pięknie wydane
pod względem szaty graficz-
nej książki popularnego przed-
wójna poety. satyryka i pro-
zaika, Juliana Ejsmonda.
Subtelny tłumacz „Sztuki
kochania” Owidiusza i wier-
szy łacińskich Jana Kocha-
nowskiego, za których dosko-
nały przekład dostał pierw-
szą w dwudziestoletniej mie-
dzywojennym państwową na-
grode literacką, był także
zapalonym myślnym i... hm...
miłośnikiem przyrody. Te
wzniołone teraz książki je-
go — to głosne przed wojną
„Moje przegrody łowieckie” i
„Żywoły drzew”. Być może,
że autor pisał je z myślą o
dorosłych, lecz z natury swe-
go stylu i rektorem, naiw-
ności podejścia do tematu,
stanowią typową literaturę
dla dzieci.

tu powstaje poważny
skrupuł. Czyżby? Owszem.
Język prosty i zrozumiały,
styl jasny, pełen wdzięku i
nawet wzruszający w swej
naiwności — ale treść? Jaka
treść wypowiada autor tym
słodkim jak cukierek stylem?
Radość zabijania. Radość
zresztą niesamowita, radość
perfidna i przewrotna, bo ra-
dost z zabijania tego, co za-
chwyca i raduje. Dowód?
Przeżyłajmy zakończenie
pierwszego choćby (bo im
dalej, tym gorzej) rozdziału
„Moich przegód myśliw-
skich”.

„Ale nagle w keple sosen
na ostrówku rodzi się pieśń-
czar, pieśń-cud, otwierająca
szczęśliwym łowcom bramy
do najskrytszych tajemnic
„suszy”. Wola nas ku sobie,
wzywa, kusi, plynie stukotli-
wa, metaliczna kaskada ko-
szelanych dźwięków, zwrotka
po zwrotce, dźwięczna a
zgrzytliwa... Wzruszenie aż
dech zapiera... Gardło wysy-
cha, a serce skacze w taki
głuchej pieśni, dźwięcznej,
rdy ptak kłaniać poczyną...
Przepuszczam jedną pieśń —
poprawiam broń. Głusze u-
rwa. Truchleje. Zamieram.
Pieśń brzmi na nowo. Mie-
dzy mną a ptakiem strzelisty
pień sosen. Wychylam się —
taki głuchej zwrotki — w-
dę „o! Siedzi zwrócony do
mnie piersią, znacząc się
czernia sylwetą na białym
niebie. Rozkoszuje się jego
widokiem: nie myśl o str-
le! Jeszcze jedną pieśń usły-

szczę, jeszcze jedną!... Wtem
głusze poruszył się... Spiewał
Szybko mierz... Suchy
trask strzału wstrząsa puszc-
zą. Ptak z łomotem pada na
ziemię, aż wodne bryzgi roz-
pryskują się dokoła...”

A więc zachwyt autora dla
głusze służy ku temu, żeby
go z tym większą satysfakcją
zabić. Ani momentu, ani od-
robiny żalu nad przetrwaną
pieśnią — tak cudowna — ży-
cia ptaka. Bo posłuchajmy
zakończenia tego nieludzkie-
go usłuchu:

„Szczęście łowieckie uderza
mi do głowy, serce skacze z
dzikiej radości jak oszalałe.
krew wali w skroniach try-
umfalna fanfara...”

Z powodu czego, pytamy
zadumieni? Z powodu zabicia
cudnego ptaka w najpięk-

niejszym okresie jego życia,
podczas podów miłosnych,
z powodu podstępnie odebra-
nia życia bez istotnej po-
trzeby innemu stworzeniu,
słabszemu od nas, z powodu
radziej na przewrotną radość
z popełnionego morderstwa
nad niewinnym okrucieństwem
życia, objawionego w kłębu
barwnego pierza i pięknie
czarujących dźwięków.

Rodzice, nie dawajcie swo-
im dzieciom tych książek.
Człowiek i tak bywa — nie-
słoty — okrutny. Po co w
nim hodować jeszcze i obłą-
nika, który zabijając za-
chwyca się przed tym swa
ofiara? Tyle jest innych źró-
deł triumfu ludzkiego nad
naturą, że to jedno: uczucie
radości z powodu zabijania
powinno być i jest moralnie

potępione. Estetyka nie mo-
że być usprawiedliwieniem
mordu, przeciwnie, tym więk-
szy budyj sprzeciw sumienia,
neglując sadyzyczne obli-
cze mordercy. Nigdy nie ro-
zumiałem i nie rozumem my-
śliwych, którzy się mienia
miłośnikami zwierząt, ani
wędkarzy, którzy się mienia
miłośnikami ryb — to prze-
cież najbardziej wyrafinowa-
ni w swej przewrotności
obłudnicy, zdradzając swe
podświadome, być może, in-
stynkty sadyzmu. Czemu nie
fotografują tych umiowa-
nych przez siebie stworzeń,
tylko podstępnie je mordują
i zjadają? Watołowi to mi-
łośnicy natury. Watołowi to
także wychowawcy młodzieży
i dzieci, choćby nawet cał-
kiem nieźle władali piórem.

AGUSTIN DE ROJAS

przełożył STANISŁAW KASZYŃSKI

PROLOG NA SCENIE

Wicie, co mnie w podziw wprawia?
Jak ci igrecy niestrudzeni
grając, ile ichu im starczy,
sławy sobie przypisują.
Bo w Hiszpanii nie masz Negra,
a w Algierii niewolnika,
który zaniej by nie pędził
życia niżli komedianta.
Gdyż niewolnik z przyrodzenia,
co się ode świtu trzusi;
noc spokojną ma w nagrodę,
musi jeno przed spoczynkiem
pana swego zadowolić,
czyniąc wszystko, co wypada
z obowiązku jego służby.
Ale ci teatralnicy,
od chłopięctwa już boskiego,
pióro ćwiczą, ba, wkuwają
godzin wiele do dziewiętej,
potem próby wieczne trwają
do południa, o tej porze
jadło biorą i znów grają,
a o siódmej w dom przychodzą.
Ledwie spoczna, znużona, mięśnie
już ich wzywa prezydencie,
i widzowie, księżatani,
urzędnicy i książęta.
Wszak tym panom służyć winni
zawsze, kiedy sobie życzą.
Boże, cóż to za udręka!
Skoro tylko to odprawia,
ćwiczyć trza, by sprostać sprawie
i wędrować, wciąż wędrować.
Nie masz pewnie na tej ziemi
trudu, co się z tym da zrównać.
W deszcz, w spiekotę, przeciw wiatrom,
w śniegach i gdy lód na drodze,

strawę zdobyć, spłacić czynsze,
posłać sztuczki i błaznistwa,
każde zdanie mieć w estymie,
smak wszelakiej kontentować.
Spectatores, och, już wicie!
Dzięki Bogu, w lot pojeśli.
A że każdy mnie zrozumiał,
dziecko, mąż i białogłowa,
astrolog, architekt,
dziwki, damy i Francuzi,
czarownice i żołnierze
jako każdy cześć pocziwy,
pozwólmy im kpić i gderać
z tego, który zaraz wejdzie,
z tego, co wystąpi naprzód
i z każdego, co odejdzie.
Śmiecie się tylko z komedii,
uragajcie, iż frywolna,
drwiście z kiepskich rymów, z akcji,
i z muzyki, że zbyt podła,
z interludów wiele sprośnych,
ze spektakl, że obrzydłe.
Niech Bóg was obdzieli hojnie
długim życiem, trzosem pełnym,
szczęściem w domu i w rodzinie,
triumfami i godnością,
niech dziewczca znajdzie gacha,
narzeczoni słodczy wszelką,
wdowy niech przylapia wdowców,
krzepkich, pięknych i bogatych,
starym babom chleb i wino,
na dodatek do tych życzę
kaszel tęg i duszący
oraz wiedzmy sekutnie,
zgrzebił także, z psich pazurek,
do drapania przez pół wieku.

Padł śnieg. Stałem przy sankach przed bramą naszego domu przy ulicy Nawrot. Dom ten nieco później nazwałem ostatnim domem. Wierzyłem wtedy jeszcze w trwałość ścian, okien i mebli. Do dwunastego roku życia żyłem wśród poślubionych mi i wiernych przedmiotów. Pociągając za sznurki sanek, sanek z workiem wypełnionym bielizną i talerzami, myślałem o swojej ucieczce jako o zdradzie przyjaznych, rodzinnych ścian i okien, osamotnionej kanapy i fotela z ceratowym pokrowcem. Godziłem się wtedy na materię, tylko na materię, ale materia ta kryła w sobie wielu bogów — materia ta była wieloma bogami. Za chwilę mocniej pociągnę za sznurek i odejdę.

Stałem przy mnie w padającym śniegu Czupurek. Czupurek nosił jeszcze tornister... „Uczymy się teraz niemieckiego — mówił Czupurek. — Nawet gotyku...” Słyszałem, że mają zamknąć szkoły. Zatrzymywali nas jeszcze na ulicach i kazali odrzywać srebrne guziki od szkolnych płaszczy. Chciałem już odejść z sankami; marzyli mi nogi. To ten Czupurek, który wierzył, że wciąż Niemców pod Warszawę, aby ich otoczyć. „Odejdź już sobie, Czupurku, ze swoimi sprawami”. Czupurek powiedział, że mu przykro, bo widzi, że ja odjeżdżam, i poszedł sobie. Pociągnąłem sanki aż na ulicę Zachodnią do mieszkania Kellermana.

Kellerman osobiście wciągnął worek po schodach. Usiadł przed moim ojcem w małym, ciemnym pokoju. Zapalił papierosa. „Talerze i bielizna — mówił Kellerman. — A gdzie masz to, co jest ładne?” Ojciec widocznie nie wiedział, co jest ładne. Kellerman pytał o to, pocierając kciuk o wskazujący palec. Ojciec pokręcił powoli głową. „Nie mam tego zbyt wiele. W pierwszych tygodniach mogłem sporo zarobić, ale trzeba było chodzić ulicą koło gestapo”. Kellerman zgasił papierosa i począł zjadać nieduże kanapki, które przygotował sobie w ogromnej ilości na półmisku.

Kellerman zjadał trzy talerze zupy, pięć kotletów i pił herbatę zagryzając plamami ciasta. Kanapki gryzł zawsze, gdy nie palił i nie mówił. Miał w swym mieszkaniu jedwabne koldry i cerowane, brudne prześcieradła. Stawił sobie na krześle koło łóżka talerz z kanapkami i zimną herbatą. W nocy jadł i pił, i palił papierosa. Czasem przerywał na chwilę i mówił półgłosem: „Dawno, już dawno nie spałem w tak licznym towarzystwie... No tak, zobaczmy...”

Kellerman zasypiał na krótko i zgrzytał przez sen zębami. Słyszałem po kolei wszystkie zgrzytnięcia. Pierwsze było krótkie, zwiaśnięte, potem całe szkliste serie. Kellerman budził się, jadł kanapki, palił papierosa. Widywałem go w rzednącej ciemności, gdy siedział na łóżku, zamyślony, z koldrą zarzuconą na ramiona, ze szklanką zimnej herbaty w ręku.

Ściany mieszkania Kellermana, oklejone ciemną tapetą, były obce, nie moje aż do cegły. Jego łóżko, wszystkie jego meble oddziały na przemierną ze mną ostro lśnieniem zimnej polityki. W dzień Kellerman siadał coraz częściej z moim ojcem, z papierosem w ręku: „Trzeba wszystko przynieść, gdziekolwiek masz — mówił Kellerman do mojego ojca. — Oderwie się obcas i w butach porobi dziury” „Nie wiem zupełnie, co ro-

bić — mówił ojciec. — Żona jest czystej krwi Niemką, a ja, według ustaw norymberskich, powinienem nosić opaskę. Dzieci chyba mogą



chodzić swobodnie...”. „Kara śmierci, kara śmierci, mój drogi. Wystarczy, że ktoś doniesie do Polizeipräsidenta...” Kellerman obliżał wargi i wydobył z portfelu kolorową fotografię

kach. Teraz Kellerman jadł z tych talerzy swoje kanapki. Jedną kanapkę dał ojcu.

Moja matka i siostra mieszkaly już w Warszawie. Ja także pojadę do Warszawy — zawiezie nas tam Kellerman. Ojciec mój był już pod Warszawą. Uciekł przed Niemcami, potem powrócił, przyjechał w jakiejś dorozce. Opowiadał, leżąc w łóżku, o swojej ucieczce. Opowiadał o późnej, jesiennej burzy. Stary wieśniak, w którego domu ojciec pił mleko, patrzył z nieufnością w niebo: „To Niemcy — mówił — to od Niemców te pioruny”. Ojciec powrócił z ucieczki tak, jakby u kresu drogi, pod Warszawą, ujrzał coś gorszego od Niemców. Niemcy byli już w Łodzi. Zobaczyłem ich, jak spoceni,

ba też się dziwił i cieszył, że znalazł nas rano skurczonych, zmalatych. „Daje nam tylko herbatę — pomyślałem — i myślę, że należymy już do niego za tę herbatę, herbatę z esencji mojego ojca”. Myślałem ze złością o marnej herbatce Kellermana, ale była to nasza herbata, nasza, chociaż nam dawana, jeśli więc gniewam się o to, że jest marna, powinienem się gniewać na nas samych, bo mieliśmy lichą esencję. Nie potrafiłem wtedy nikogo w prosty sposób nienawidzieć, nawet Niemców.

Niemcy pobili nas, zajęli nasz kraj... A dlaczego my pozwoliliśmy się tak szybko pobić? I ja także byłem jednym z pobitych, chociaż nikt ze mną bezpośrednio nie walczył. Pamiętałem

nawet do samych siebie przez tę odrobinę dzielącego nas ciemnego powietrza. Rozeszliśmy się do domów oddzielnie.

Zdarzenie to przypominała mi nasza herbata dawana nam przez Kellermana. Rozlewał ją ciągle, bawiąc się małym czajniczkiem. Kellerman tego dnia bawił się przedmiotami i ludźmi. Podawał nam do rąk tyżeczki, obracając je i podrzucając w powietrze. „Pijcie herbatę, pijcie herbatę” — mówił. Włożył mi do ręki kanapkę i podał kanapkę ojcu.

Wydawało mi się, że Kellerman trzyma kogoś za drzwiami, kogoś zabawnego. Przywołał go do pokoju i wszyscy parsknęli śmiechem. Myślałem także, że może to jest zwierzątko

tam pokarmu, z wolna zjadają siebie nawzajem. Nie darmo Kellerman jadł bezustannie — kiedy pochłonie wszystkie kanapki mojego dotychczasowego świata, obróci zęby na nas.

Kellerman zatrzymał dorozkę. „Tutaj, Willy — zawołał do mojego ojca — tutaj ładuj walizki.” Ojciec mój na pewno nie był Willym, jednak usłuchał. „Siadaj, Brunon” — powiedział Kellerman do mnie. Ja więc pozostałem Brunonem. Będę już Brunonem, Brunonem do końca.

Dorozka biegła przez padający ukośnie śnieg. „Ladujemy się do tego samego przedziału, koniecznie” — mówił Kellerman stawiając przed nami nieobecny jeszcze pociąg.

Na dworcu mijaliśmy Niemców w hełmach i w tyrolskich kapeluszach. „Komm, komm, Willy!” — wołał mojego ojca Kellerman. Nachylił się do jego ucha i powiedział: „Nie martw się, umieściliśmy wszystko w obcasie.” „Nie krzycz już po niemiecku — powiedział mój ojciec — pojedziemy przecież z Polakami.”

Wpadłem już, wgniotłem się w przedział z pięścią Kellermana między łopatkami. „On mnie przedziurawi, przebiję na wylot” — pomyślałem. Usiadłem w miejscu wypełnionym tak gęsto, że nie dotknąłem niczego prócz ciał ludzkich. Siedziałem między ludźmi, nad ludźmi, a także pod ludźmi.

Pociąg ruszył gwałtownie. Przede mną rozmawiały trzy głowy — trzy pijane głowy: dwie głowy kobiece i pomiędzy nimi głowa mężczyzny. „A jak będziesz do nich chodził to pamiętaj, że mną nie ma żartów. Ja się z niczym nie liczę. Pamiętaj, dam ci po twarzy, przy ludziach” — mówiła jedna kobieta. Mężczyzna uśmiechał się krzywo. „Jeżdżi teraz z nami obłema — powiedziała kobieta druga — i jak ze mną na piwko wyskoczysz, to co?” „Na małe piwko można wyskoczyć — powiedziała kobieta pierwsza — ale bez wódki. Wódka i piwo — upije się od razu...” „A jak ze mną na piwko wódkę bez piwa wyskoczysz, to co?” — pytała druga kobieta. „Na samą wódkę może z tobą wyskoczyć, ale bez piwa. Wódka i piwo razem upijają.” „To już Kuluszki!” — powiedział ktoś z czoły. Drzwi od wagonu otworzone, zobaczyłem Niemca w kolejarzkim mundurze i Niemca w hełmie. Obaj mieli karabiny. Wyciągnęliśmy do nich ręce z bilecikami. Wspięli się na stopnie i oglądali poszczególne głowy. Kobieta pierwsza i druga krzyknęły jednocześnie. Niemcy wyciągali z przedziału mężczyznę, któremu nie wolno było pić piwa razem z wódką. „Jego nie można, nie można!” — krzyczała kobieta pierwsza. Wyszyli obie z przedziału i biegły za uprowadzającymi mężczyznę Niemcami. „Jego nie można!” — krzyczała kobieta druga. — On jest dziecko, Kind, Kind!”

„Przybyło sporo miejsca w przedziale” — powiedział Kellerman i rozwinął pakunek z kanapkami.



Fragment powieści „Ulica Wilcza”, która ukaże się w najbliższym czasie nakładem Wydawnictwa Łódzkiego.

BERNARD SZTAJNERT

UCIECZKA

Z

KELLERMANEM

Hitlera. „Na pewno — powiedział — nie jest to pospolity człowiek”. Wydaje się, że ta niepospolitosc Hitlera z kolorowej fotografii przynębiła mojego ojca. Siedział oparty łokciami na stole, z podbródkiem w dłoniach. „Niemcy — rzekł — zachowują się w niesłychany sposób. Rabują i kradną. Nawet ci, którzy wyglądają na porządných ludzi. Wczoraj podszedł do mnie na ulicy żołnierz i zażądał pieniędzy. Zaciągnął mnie do bramy, obmacywał po kieszeniach. Nie miałem pieniędzy. Powiedział, żebył mu dał papierosa. Miałem w papierosnicy z jednej strony siedem, z drugiej dziesięć. Dalem mu siedem, a dziesięć zatrzymałem dla siebie. Mruknął nieoczekiwanie „dziękuję” i szybko odszedł”.

Kellerman poglaskał mego ojca po głowie. Ojciec zmalował — nie odgrywał teraz większej roli niż małe dziecko. Kellerman dał mu kanapkę. Widział jeszcze mojego ojca, troszczył się o niego, radził, żądał. Mnie natomiast nie widział zupełnie. Nawet ojciec o mnie zapomniał — miałem mniejsze znaczenie niż plamka po zostawiona na szybie przez jesienną muchę.

Przemówiłem do Kellermana. Zapytałem go, czy wie, że w nocy zgrzyta zębami, i dlaczego to robi. Kellerman drgnął ze zdumienia, spojrzął na mnie jak na gadającego fotela, potem chwycił mnie za ramię i bez słowa wyprowadził do kuchni. Mój ojciec żuł w milczeniu kanapkę, nie słyszał moich pytań, ani nie widział, jak Kellerman mnie wyprowadził.

Chętnie straciłem go z oczu, a i Kellerman wrócił do pokoju, tak że zostałem w kuchni sam. Z kranu spadały wielkie krople wody. Z dołu krzyczało podwórko — nie usunęto jeszcze ściapy domku z dyktu, w którym żydzi obchodzili święto Kuczek. Krople wody spadały na nasze talerze rytmicznie. Przywiozłem te talerze w worku z bielizną, a zan-

w ogromnych hełmach, tłoczyli się na placu wokół orkiestry. „To ludzie, ludzie” — mówiła moja siostra, biorąc mnie za rękę. Siedziałem w kuchni do późnego wieczora, bez światła.

W nocy wszedłem do pokoju. Ojciec spał na kanapie. Kellerman w łóżku pił zimną herbatę i gryzł kanapki. Przywołał mnie do siebie i pociągnął za ucho: „Gówniarzu — mówił pełnymi ustami — ja ci pozgrzytam, pozgrzytam”. Puścił mnie, zasnął i zaszczytał. „Zgrzyta dla mnie” — pomyślałem i położyłem się na puszystym dywanie.

Dywan pachniał pastą do podłogi. Czy Kellerman smaruje podłogę? To nie jego mieszkanie: wziął je po Zydach. Leżałem na obcym dywanie. Zauważyłem, że obce stały się nasze talerze i półmiski. Przystały do Kellermana, który jadł z nich.

Budziło mnie zgrzytanie Kellermana, jego mlaskanie, gdy pił herbatę. Snł mi się kolorowy, rozgniewany Hitler. Krzyczał i wygrażał ręką: „Kara śmierci, kara śmierci!” — krzyczał i zgrzytał zębami. Zmienił się w klekocącego, zgrzytającego kociotrupa.

Obudziłem się przed nim, na pachnacym dywanie. Łóżko Kellermana było puste. Powoli budził się mój ojciec. Usiadł na kanapie, przyciskał i pocierał palcami powieki: „Znowu dzień, znowu dzień” — wstękał i skrzywił twarz.

II.

„To dobry dzień, dzień dobry” — powiedział Kellerman stając w otwartych drzwiach sypialni. Był ogolony, założył już nawet krawat, w rękę trzymał tacę z pustymi szklankami. Kellerman uśmiechnął się z papierosem w kąciku warg. Obracał w rękę nasz czajniczek do esencji, uśmiechał się do czajniczka, zdziwiony, że jest taki mały. Zycielwie nalewał esencję do szklanek. „Jedzcie śniadanie — mówił Kellerman — czeka nas dzisiaj podróż”. Uśmiechał się do nas. Chy-

pierwszy dzień, kiedy stałem w ogródku, za podwórkiem naszego domu, przytłoczony rosnącą we mnie świadomością klęski. Otworzyłem powieki w promieniach słońca. „To słońce pobitych — pomyślałem — słońce pobitego”. Gdzie mnie kto pobił, kiedy mnie kto pobił? I wtedy właśnie — pierwszego dnia okupacji — uznaliśmy się za nie pobitych. Było nas pięciu chłopców z jednego podwórka. Wieczorem zebrałmy się w ogródku. „Przyjdziemy do ogródka” — pomyślałem i wiedział każdy z piątki — żaden jeszcze nie wiedział,



co w ogródku będzie — że trzeba się zebrać wieczorem. To na razie wszystko... Wieczorem leżeliśmy w krzakach wilczych jagód. „Tu są wilcze jagody — mówił jeden z pięciu. — Wilcze jagody trują, nie wolno ich jeść, chyba żeby ktoś się chciał otruć uświadnie, to może jeść dzikie jagody”. „Trzeba zdobyć broń” — powiedział jeden z pięciu. Myśleliśmy o sobie, jak znajdujemy broń w lesie, dostajemy broń za wódkę, za odwagę, wykradamy broń z magazynu. „To nie ma sensu — powiedział jeden z pięciu. — Sens byłby wtedy, gdyby tutaj, gdzieś w okolicy, były nasze wojska, gdybyśmy się mieli do nich przedrzeć”.

Był wieczór ciemniejszy już w noc. Czuliśmy nasze ręce i nogi, stłoczeni w krzakach wilczych jagód. Nie widząc się nawzajem, czuliśmy siebie jako przedmioty, oddzielne bryty nie mające żadnych połączeń. Wiedzieliśmy już, że nie przedrzemy się do naszego wojska, nie przedrzemy się

— plesek, zwierzątko lub przedmiot — piękny fotel za drzwiami, skrzynia z pachnącym mydłem, wielka trąba ze strażackiej orkiestry, ktoś lub coś, co byłoby sobą i nie tylko sobą — byłoby niewojną. Pan niewojna — uśmiechnięty, lub fotel pluszowy z lekkim chrzęstem sprężyn — i oto wojna zginęła; nie tylko przestanie być od teraz, lecz cofnie się, okaże się, że nie było jej nigdy... „Słusz ci” — powiedział Kellerman podając cukiernicę i drwiąc z niej uśmiechem. Piliśmy już okurzoną herbatę. Walizki do naszej podróży leżały na podłodze. Kellerman, ciągle uśmiechnięty, pakował sobie kanapki. Wydawał się rad z tego, że jedzie, odrywa się od swego wygodnego mieszkania, od naczyń i jedwabnych koldr, które ukradł, którym go obdarowano, i tych, które wziął sobie w godzinach, gdy nie należał do nikogo.

Wychodziliśmy w trójkę. „Jedziemy do mamy” — powiedział ojciec dotykając mojego ramienia.

Padł śnieg. Zadziierałem głowę oglądając szeregi obojętnych okien, dekoracyjne, szczerne fale opadających płatków. „Zapamiętaj, zapamiętaj!” — mówił ktoś we mnie, mówił uroczysty, a potem chichotał. Wydawało mi się, że właśnie w tej chwili rozstrzygam sprawę naszego odjazdu, naszej ucieczki. Przystając na podwórku z walizką w ręku, powinienem tu w jakiś sposób pozostać...

Kellerman uderzył mnie w ramię: „Przestaniesz ty się gapić, gówniarzu!” Pociąłem sobie niejasno uświadamiając, że ten nagły natarczywy opiekun wyprowadza mnie nie tylko z mojego miasta. On przepycha mnie przez granicę, za nią jest przestrzeń, w której nigdy jeszcze nie byłem, a w której Kellerman i wielu innych poruszało się stale nawet wtedy, kiedy przebywali w moim świecie, uważnym przeze mnie dotychczas za jedyną z istniejących. Pamiętałem, że za tą granicą wszyscy żyją w gło-dzie, a ponieważ nie ma



ulica Wilcza

str. 7

GENTLEMAN

22

SZTUCEREM (II)

Doktor Sternau, wędrowiec, który przemierzył prawie cały świat, od źródeł Renu, przez Pirenejskie góry, aż po pustynie Meksyku, był pierwszym wielokrotnie Old Shatterhandem. Wnioskując z meksykańskich awantur, czy pierzeł na jego widok. Omięgały go kule, niewinnie pokrzywdzeni oczekiwali na jego przybycie.

May, ten „Szekspr dla młodzieży” (bo i tak miano go później nazywać), oszobotony, jak wolno przypuszczać, tymi pierwszymi sukcesami, mógł już sobie pozwolić na sformułowanie programu literackiego. Program ten nie był zresztą zbyt skomplikowany. „Nie piszę — żądał od siebie — jak owi nudziarze, których nikt nie czyta; piszę jak dostarczycielele drugorzędnych powieści, ci, którzy potrafią sobie zyskać setki tysięcy i miliony czytelników, i tylko dbam o to, by nasze tematy były tak szlachetne, jak szlachetne są nasze zamiary i cele”.

W roku 1886 pisarz poczuł się już na tyle silny, by odrzucić pseudonimy: Kapitana Ramona Dize de la Escosura ustąpił miejsca Karolowi Mayowi, pisarzowi czytelnemu już wówczas na obu półkuliach. Sukces jego powieści nie był chyba zresztą trudny do wyliczenia. Tak prosił o program literacki, jak i jego realizację nie było na pewno niczym nowym: mieszczanie niemieckie już w pierwszej połowie XVIII wieku zaczytywali się powieściami Coopera. Ale etnologiczne baśnie Maya zjawiały się także w porę! Rzecz można nawet, że były odpowiedziami na nagłe zamówienie społeczne: wiek XIX był przecież wiekiem podboju i kolonizacji. Dalekie i słabo znane lądy wciąż kusily awanturników. Wystarczy powiedzieć, że między rokiem 1820 a 1914 pięć milionów Niemców wyemigrowało do Ameryki. A poza Ameryką była przecież jeszcze i Afryka i Azja. Wraz ze wzrostem zainteresowania dla terytoriów, które były lub miały być podobne, rosły i nakłady. May umiał bowiem zaspokajać ciekawość swoich współczesnych: co prawda nie oglądał nigdy owych dalekich krajoznawstw, ale od czego były słowniki, atlasy i encyklopedie.

Na pierwszy rzut oka zdawać by się mogło, że kłódkę jego książki dobrej sprawie: nie były przecież niczym innym, jak sentymentalnym i nabożnym lamentem nad zmierzaniem czarnej rasy, lamentem nad zwycięstwami i wyluzowaniem z ziemi. Warto jednak nieco bliżej przyjrzeć się sylwetce bohatera, jakiego prezentuje May. Kimże jest Old Shatterhand, ten Odyseusz XX stulecia, uzbrojony w sztucer Henry'ego i z równym zamiłowaniem polujący na dzikie zwierzęta, co na wrogów swego czerwono-skórego przyjaciela Winnetou? Jest, przede wszystkim, białym człowiekiem. I jest, co nie mniej waż-

ne, prawdziwym dobrym Niemcem. Tak w preriach i puszczech Ameryki, jak i na pustyniach Azji jest symbolem sprawiedliwości, ale i symbolem siły: siły białej rasy. Oczywiście, twierdzi May, i wśród białych zdarzają się parszywe owce: ale to najczęściej Yankee-si. A Old Shatterhand jest przecież Niemcem, wzorowym poddanym cesarza Wilhelma. A Rzesza Wilhelma jest gotowa przyjąć na swe łono wszystkich: Mahometan, Indian, Chińczyków. Byłoby tylko nie zechcieli zaprzeczać przewadze swego białego „brata”: bo przecież tak w Arabii jak i w Górach Skalistych demonstruje on jakże przekonująco swą oczywistość, według Maya, wyższość. Jest mądrzejszy i silniejszy od swych wrogów i z każdej walce wychodzi zwycięsko. Zna na pamięć Biblię i Koran, w burnusie nie można go odróżnić od Beduina, a rzucony przez niego tomahawk leci najszybciej i nigdy nie chybia celu. Ten wielki biały człowiek ma tylko jedną słabość: ponad fałkę pokoiu przedkłada mieszczniańskie cygaro.

Po sławie i nakładach przyszedł wreszcie i pieniądź. Dostarczył ich, oczywiście, usługom gentelmanowi Winnetou. W roku 1892 ukazało się pierwsze trzytomowe wydanie „Winnetou” i 50-letni już wówczas pisarz mógł sobie kupić własny dom. Siedmioopokojowa „Villa w Radebeul” otrzymała nazwę „Villa Shatterhand” i May zapożyczył ją „zdobyczymi” trofeami: w półkach czaiły się wypchane dzięki zwierzęta, a biuśko zdobił srebrny bust Winnetou. Nie zabrakło i sztuki Henry'ego. Przy biurku, między encyklopediami, skórnymi lampkami i fałkami pokoiu, Karol May pisał i opowiadał na coraz to nowszej korespondencji. „Byłem — pisał do Maya jeden z czytelników — złym człowiekiem, grzeszyłem przeciw rodzinie i śmiałem się z Boga. Ale dzięki pańskim opowiadaniom, uratowałem duszę”. „Odkąd — pisał inni — przeczytałmy pańskie książki, znowuśmy na zawsze z socjałdemokratami”.

Pochwały i wyróżnienia, rozdziałanie porównań między pisarza a jego, postaci, nie pozostały bez echa. May zaczął się identyfikować ze swymi bohaterami. Na kartach wycieczek pod nazwiskiem polował się dopiski: „zwany Old Shatterhand”, a pisarz coraz chętniej wdywał kostiumy trapezisty lub Beduina. Nie świadczą jeszcze o prawdzie, że tak jak jego bohaterowie zna na pamięć Koran, zapewnił jednak, że pisał i mówił po francusku i po angielsku, po włosku i po hiszpańsku, po grecku, po hebrajsku i po rumuńsku. Miał także znać szereg dialektów chińskich i malajskich, nie mówiąc oczywiście o różnych narzeczeniach Słuków. Prawda wyglądała niestety nieco inaczej. May nie potrafił się nawet posłu-

żyć słownikiem angielsko-niemieckim i jedynie przy biurku poczynił sobie swobodnie z wielojęzycznym tłumem swych bohaterów. Mimo to, wreszcie się zdecydował: w roku 1899 wyruszył w swą pierwszą pozaeuropejską podróż. Trwała ona półtora roku i wiodła z Niemiec do Egiptu, a z Egiptu aż na Sumatrze. Wypada przypuszczać, że dla pisarza, który przy biurku zjeździł cały, jakże barwny i bogaty świat, była to podróż pełna rozczarowań. Tak jak pełen rozczarowań był powrót do domu. W Niemczech rozpoczęła się właśnie gwałtowna kampania prasowa przeciwko autorowi „Winnetou”. I gdyby to oskarżano go tylko o deprawowanie młodzieży czy o bezprawne używanie tytułów naukowych! To jeszcze byłoby do zniesienia. Ale przeciwnicy dotarli do sądów i sprzed wielu lat i do wychodzącego na jaw nieślawnego złośliwego przesłuchania wielbionego przez Niemców pisarza. Ale May nie zalał się. Oświadczył tylko, że to, co napisał dotychczas, traktować należy jako studia wstępne. „Dopiero teraz — mówił — zaczynam! Dopiero teraz będę pisał!” Ale siły twórcze pisarza były już na wyczerpaniu. Ani symboliczny dramat ani tom myśli nie przyniosły mu sukcesu. I dopiero pod koniec życia szczęście i sława znowu zaczęły mu dopisywać. W roku 1902 60-letni pisarz wypuścił w świat powieść „W krainie srebrnych łwów”. Sukces był zapewniony, nie tyle może ze względu na walory tekstu, ile na to, że była to powieść z kluczem. Pod postaciami bohaterów z łatwością bowiem można było odnaleźć wrogów i przyjaciół Maya.

I wreszcie, w roku 1910, ukazała się ostatnia powieść, dzieło znane jako „Dzieciństwo Winnetou”, wówczas nazwana po prostu „Winnetou IV”. Była ona owocem podróży do Ameryki: May po raz pierwszy znalazł się w pobliżu miejsc, które zwiędziały już Old Shatterhand. Fotografował się na tle wodospadu Niagara i złożył kwiaty na grobie autora „Chaty wuja Toma”. Zmarł w roku 1912, w „Villa Shatterhand”.

A nakłady wciąż rosły. Od 160.000 egzemplarzy w roku 1914 poprzecz 7.000.000 egzemplarzy w roku 1938, aż po zawrotną cyfrę 18.000.000 nakładu w roku 1962. Zapobiegliwi wydawcy Maya zbijają dziś zresztą pieniądze nie tylko na „Dzieciach zebrawych”. Oplata za 17-dniową wycieczkę „Śladami Karola Maya”, która ma się odbyć w marcu 1963 roku, ma wynieść 4.900 marek od osoby. Suma jest niemała, ale chętni na pewno się znajdą: Winnetou wciąż jeszcze podbija serca 15-latków.

oprac. wg „Der Spiegel”



Popiersie Winnetou

Jest w disneyowskim „Zakochanym kundlu” wzruszająca scena: wychudzonego psa prowadzi rąkacz na elektryczną płytę. „Reks ma swój ostatni spacer” — mówią inne psy. Tak jest. Na ów ostatni spacer prowadzi się dziesiątki, setki psów. Wszak człowiek jest panem stworzenia.

Są wysoko nawet cywilizowane kraje, gdzie elektrycznością zabija się także ludzi. Czy mam prawo do tej analogii? Mam prawo, bowiem jest naturalne, że społeczeństwo broni się przed osobnikiem niebezpiecznym. Psy nie są niebezpieczne. One są tylko co najwyżej niepotrzebne. Dlatego człowiek wprowadza je na polaną wodą metalową płytę, dotyka izolowaną „łyżką” i włącza prąd...



Fot. W. Turowski

JERZY WILMAŃSKI

Reportaż z PIEKŁA ZWIERZĄT

Psy giną. Wbrew zarządzeniom Ministerstwa Gospodarki Komunalnej, które zabrania rąkaczom barbarzyńskich polowań. Psy giną, choć trudno tutaj nie zacytować zdania Paula Leqautanda, użytego artykułu Jerzego S. Sity: „Zadenarod, który nie poczuwa się do obowiązku opieki nad zwierzętami nie jest w pełni ucywilizowany”.

Przy ul. Snieżnej w Łodzi znajduje się niski, ponury budynek, opatrzony szyldem: „Zakład Przetwórstwa Karmy Miesnej”. Stąd pochodzą publikowane tu zdjęcia. To właśnie tu, przy ulicy o śnieżnej, niezbrakanej nazwie morduje się 200-300 psów miesięcznie! Miesięcznie! Kilku specjalnych pracowników Zakładu Oczyszczania Miasta dostarcza tu swój dzienny „urobek”.

Nie oszukujmy się. Nie uwerzę nigdy, że w jednym, nawet 700-tysięcznym miesiącu można znajdować miesiąc nie do 300 barbarzyńskich, bezdomnych, chorych psów. Zainteresowani wiedzą doskonale, ile to już lat nie było w Łodzi wypadku wścieklizny. Zainteresowani wiedzą doskonale, że psy są szczepione, że mają opiekę, mają swoich właścicieli.

Zwróciliśmy w rakarni przy ul. Snieżnej uwagę na pewien dość istotny fakt. Owego dnia (a prawdopodobnie nie tylko owego dnia) widzieliśmy w klatkach wyłącznie psy młode. To dość ważny szczegół. Każdego właściciela wie, ile jest kłopotu z młodym niesfornym psem. Każdy wie, jak łatwo młody — niesforny — pies może stać się łupem rąkacza. Toteż osławieni właściciele miejsca chwytają młode, zdrowe, rasowe psy i odwożą do „bazy”. I tam pic...

otrzymuje wyrok. Zawsze ten sam wyrok.

Słyszałem, że „usypia” się psy stare, chore, kaleki. O! swego rodzaju eutanazja. Nie podobnego. Spójrzcie na zdjęcia. Widać psy młode, rasowe. Na pierwszym planie stosu zabitych leży ogromny wilczur... Słyszałem, że się „usypia”. Rzeczywiście jest o wiele bardziej barbarzyńska. Elektryczna płyta jest od miesiocy uszkodzona i psy się po prostu... smażą. Jak nam powiedział pracownik rakarni, kiedyś sam o mało nie podzielił losu swoich „połopiecznych”. Żle izolowany kontakt poraził go prądem.

Powie ktoś: „czemu właściciele nie odbierają z rakarni swoich psów”? Przecież w myśl zarządzeń schwyłane zwierzę przetrzymywane jest przez trzy doby. Tak, o prawda, ale...

Przeprowadziłem błyskawicę na ankietę wśród osiemu właścicieli psów. Nikt, dosłownie nikt nie wiedział, gdzie mieści się rakarnia, jakie są zasady i warunki odbioru psów. Nikt nie wiedział, trzydniowym terminie kwarantanny. I właściwie niby skąd, skoro na ów wstydliwy temat oficjalnie mówi się niechętnie. Straciłmy sporo czasu, zanim dowiedzieliśmy się adresu rakarni. Nawiasem mówiąc, nikt nawet w Wydziale Gospodarki Komunalnej nie mógł nas poinformować, w jakiej dzielnicy się ona mieści. Dopiero po sprawdzeniu w planie miasta okazało się, że na Sikawie. Zupełnie już na marginesie wspomnijmy jeszcze, że podróż na ul. Snieżną w jedną tylko stronę zajęła nam blisko pół godziny.

Postawmy się w sytuacji właściciela psa, który po pierwszej nie wie, gdzie jest

rakarnia, po drugie, nie ma pewności czy jego pies tam się znajduje, po trzecie, nie zna terminów kwarantanny i po czwarte wreszcie, jest czło-wiekiem pracującym, a żaden zwierzętnik nie zwoła go z pracy w tak „blahym” celu. Kto ma owego właściciela o tym wszystkim poinformować, skoro cała rzecz dzieje się poza prawem i jest, delikatnie mówiąc, skandalem.

Nie to jest zresztą w końcu istotne. Zgodzę się, że wie le winy leży po stronie właścicieli. Ale w imię czego — pytam — w konsekwencji niedbalstwa czy nieświadomości właścicieli morduje się niewinne zwierzęta? Czemu dopuszczamy do sytuacji, że ginie na metalowej płycie pies, o którym lubimy patetycznie mówić, że jest przyjacielem człowieka. Niestety, przyjaźń to zupełnie jednostronna.

Towarzystwo Opiek nad Zwierzętami otrzymywało sygnały, że psy w czasie trzydniowej kwarantanny są częstokroć głodzone. Nie wiemy, czy to prawda. Psy nie potrafią mówić. Nie podnosimy zresztą tego faktu, aby czynić zarzuty pracownikom rakarni. Ci ludzie po prostu wykonują powierzony im pracę. Nie oni są winni. Winien jest barbarzyński system załatwiania tych spraw. Dlatego powtarzamy: istnieje możliwość, że psy są głodzone. W obecnym systemie „pracy” rakarni na pokarm dla zwierząt przeznaczają się pieniądze z wpłat właścicieli odbierających swoje psy. Takie wypadki zdarzają się 4-5 razy w miesiącu. Oplata przy odbiorze wynosi 60 złotych. Proszę przemnożyć te sumy przez 5 i porównać z ilością psów miesięcznie (200-300).

Na jednego psa przypada dziennie 15 kg mięsa i 30 kg kaszy. Pracownik rakarni stwierdza, że nawet na te niewielkie porcje nie zawsze starcza. Czyż można więc dziwić się, że Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami jest taką sytuacją zaniepokojone.

I znowu nie chodzi przecież tylko o zrewidowanie powyższych norm. Chodzi przede wszystkim o zrewidowanie bezdusznego, obojętnego stosunku do bezbronnych zwierząt. Chodzi o jak najenergiczniejsze wdrożenie kompetentnych czynników w praktykę „piekła zwierząt”. Tolerując oturzającą sytuację, dając moralny placet na masowe mordostwa „przyjaciół człowieka” wygławiamy sobie paskudne świadectwo. Jednego jesteśmy pewni — nie jest to świadectwo godne cywilizowanego społeczeństwa.

Dokończenie ze str. 2

chali do domu. — Na Kurczaki? — dziwili się. — Panie, a co będzie z powrotem, mamy wracać próżno? Pasażer był uparty i poszukiwał pomocy w prawie. W tych dniach odbyła się rozprawa sądowa: obaj kierowcy otrzymali grzywny.

NIECO ZNANYCH PRAW

Do czego więc doszliśmy? Do stwierdzenia następujących prawd:

— taksówkarze to też ludzie. Są wśród nich tacy, którzy dzień w dzień odnoszą do MOI na Piotrkowską znalezione w taksówce i pozostawione przez roztargnionych pasażerów wartościowe nierzachodzące przedmioty, ale i tacy, którzy o tym obowiązku zapominają,

— są taksówkarze, którzy pomogą na dworcu choremu człowiekowi i staną w kolejce przed kasą, by kupić mu bilet, ale przecież są i tacy, którzy — jak ten na Rewolucji 1905 roku — nie weźmie do wozu chorego kobiety, bo przypadkiem trafił mu się lepszy kurs,

— są wśród nich przykłady przesadnej solidności, za nie w świecie nie weźmie 10-złotówki, gdy kurs wynosił dokładnie 9,50, ale i tacy, którzy przy byle okazji „nabijają pasażera w licznik”, jedną skrupulatnie podzieliła należność między pierwszego pasażera i tego, który dosiadł się na trasie, inni — żądają od obu pasażerów całej opłaty.

— i wśród pasażerów są ludzie, którymi taksówkarz może czasem nawet pogardzić. — Panie kochany — zwierzył mi się raz taksówkarz — wsiada do mnie załany facet i każe się wieźć po knajpach. Do każdej zaprasza i mnie. Gdy powiedziałem, że chyba zwraciał, bo kierowcy pić nie

wolno, to chociaż śledzika musiałem zjeść. Ale on wszędzie doprawiał się. I tak jeździliśmy pół dnia. Wreszcie i jemu to się znudziło, choć cały czas był w dobrym humorze, jedliśmy więc do jego domu. Poprosił, abym z nim wszedł do środka, bo przy sobie nie miał już ani grosza, a licznik tymczasem wybił trzyście kilkadziesiąt złotych. Wechodzę i co widzę? Bieda z nędzą, kilkoro drobniaków, jakieś łóżka pozbijane z desek, jakaś wymizerowana kobiecina... Ale za kurs zapłacił honorowo!

— stosunki taksówkarz — pasażer układają się więc jak stosunki międzyludzkie w każdym społeczeństwie: i po jednej i po drugiej stronie znajdziesz tych, których jak najszybciej powinniśmy wychować i tych, których z czystym sumieniem moglibyśmy przedstawić do ordekru. Wiecie sami, których jest więcej.

FELIKS BĄBOL

str. 8 **odgłosy**



Fot. W. Turowski

At dinner time in the dining-room of a hotel a man was telling about the wonderful things he had done in his time.

A man who was listening to him asked:

— Well, now, tell us of something you can not do, and I'll try to do it myself.

The man answered:

— Thank you, sir! I can't pay my bill.



o rannej godzinie

Pan jest ciekawy, co też ta Mariola nowego wymyśliła? Owszem, ja również skreślałam się z ciekawości. „Nie, Mariola — powiedziałam — naprawdę byłaś u Felusia?” Pan wie, to ten milicjant, który przyjaźnił się z Tatą. Pan się orientuje? Przepraszam. Mariola odparła: „Cóżś myślała? Że cię bujam?” „Ale dlaczego byłaś u Felusia? Jak do tego doszło?” — nie mogło mi się w głowie pomieścić, że Mariola miała z Felusem wspólne interesy i że Felus jej szukał, może jeszcze ogłoszenie podał w gazecie, nie, to była zwyczajna lipa, myślałam, Mariola znowu chce się wykreślić. „Może też o Szczura po drodze zachaczyłaś?” — zapytałam. „Nie przypominaj mi tego kretyna!” — zawołała. — Mam już dość. Na samo wspomnienie tego balwana chce się rzygać. „Nic z tego nie

rozumiem” — przyznałam. „Więc ci powiem — odezwiała się Mariola. — Felusia spotkałam u Boruty”. Pan się tego domyślił? No, to pan jest genialny. Ja nie śsty się nie domyśliłam. Owszem, Narcyz mi to mówił, ale nie wierzyłam. „Więc to prawda! Jednak chodziłaś do tego lajdaka!” — zawołałam. „Chodziłam” — przyznała Mariola. Przypomniały mi się rozmowy którą prowadziłyśmy w więzieniu na temat Boruty. Mariola mówiła: „Kocham go, nie na to nie poradzę”. Najlepsza była Cefka, ta wróżbiara, która wyśmiewała się z Marioli. No, ale to zafajdata przeszłość, nie ma po co do niej wracać. Zrobiło mi się trochę głupio i powiedziałam: „Przepraszam cię Mariola, nie chciałam cię urazić”. „Nie szkodzi” — rzekła Mariola ściskając mnie za rękę — „Masz prawo go tak nazywać”. Widzi pan, jaka gadka z tą Mariolą. „No i do-

brze — powiedziałam. — Ale co ma z tym wspólnego Felus?” „Nie domyślasz się?” — zapytała — „On miał tam jakieś sprawy i pot, kalisz się. Więć jak to w takich przypadkach bywa, pytał się mnie, co porabiam, gdzie mieszkam i co ty robisz.” „Nie mów Mariola — przewałam jej — O mnie się również pytał. Pamiętał mnie?” Dlaczego miałby cię zapomnieć. — odparła Mariola. — Nie wyglądasz na taką, którą się łatwo zapomina”. „Bez łaski! — zawołałam. — Wolałabym, żeby o mnie zapomniał”. „A jednak cię zapamiętał”. „I co z tego wyszło?” — zapytałam. „Możesz sobie wyobrazić, zaprosił mnie do kawiarni” — wyznała Mariola. „Nie bajka, Felus zaprosił cię do kawiarni?” — zawołałam. „Poszliśmy do tej na rogu Kościuszki i 22 Lipca. Fajna kawiarenka. Byłaś tam?” „Nie, nie byłam” — powiedziałam. „Więc Felus zamówił kawę, zaczęliśmy roz-

mawiać. No więc pytał się o wszystkich z naszej paki, o Borutę też się pytał, był ciekawy, jak się Boruta czuje.” „Na co mu to było potrzebne?” — zapytałam. „Nie wiem — powiedziała Mariola. — Może ich to interesuje, może chcą wszystko wiedzieć o takich jak my, mało mnie to wzrusza.” „Więc dlaczego z nim chodziłaś?” — zapytałam. „A dlaczego chodziliśmy z Borutą, z Długim, z Cześciem?” — zawołała. „No wiesz, tam było co innego.” „Na pewno — powiedziała Mariola — Ale prosił mnie, więc chodziłam.” „Może on się w tobie zakochał?” — zapytałam. — Tato się w tobie durzył, dlaczego Felus miałby się nie zakochać?” „Nie, Magda, ty jesteś genialna — rzekła Mariola. — Niech cię nie znam. Jednak muszę cię uspokoić. Nie zakochał się.” „Wcale by źle nie zrobił!” — powiedziałam.

W tej chwili odezwał się dzwonek przy furtce. Pan sobie wyobraża, jaka byłam wściekła. Też się ktoś wybrał w porę! „Niech to wszyscy diabli! Ciotka wymyśliła urządzenie — krzyknęłam. — Czekaj, Mariola, muszę spławić tego gościa.” Wybiegłam do furtki, i pan się już domyślił, na ulicy stał listonosz, ten facet z mokrą głową i powiewał kopertą. Rany, jaką miałam, śmiał się całą gębą, nie wiadomo, co go tak cieszyło. A pan sobie przypomniał, jaką odprawę dałam mu ostatnim razem. „Jak się masz, dziewczyno!” — zawołał. — Od wczoraj noszę ten list”. „Dlaczego nie oddałeś ciotce?” — zapytałam ze złością. „Nie mogłem oddać — powiedział z dwuznacznym uśmiechem. — Nie było cię w domu.” Niech to diabli, nie lubię takich gości i koniec. Co



Dalszy ciąg na str. 10

— May I see Doctor X?
— Doctor X is receiving just now.
— Where does he see his patients?
— Room 4.
— Thank you.
— Are you all waiting for Doctor X?
— No, there are only two of us to see Doctor X.
— Is he a good specialist. I've never been to him before.
— I've been. He's quite an experienced doctor... Oh, it's my turn now. Excuse me.
— Good morning, doctor!
— Good morning! What is wrong with you?
— I'm awfully sick, doctor. I have an awful pain in the stomach.
— Where does it pain you?
— Here, doctor.
— Strip to the waist, please, and lie down on the couch.
— Which side did you say the pain was on?
— Right here, doctor.
— Here?
— Oh, yes!!!
— What have you been eating of late?
— Well, I think everything that I've always been used to — meat, cabbage, and the like.
— Does this often happen with you?
— Not that I remember, doctor.

In Schottland leben Menschen, die sehr alt werden. Ein Reisender begegnete einmal einem Mann, der etwa sechzig Jahre alt war. Dieser Mann weinte. Der Reisende fragte:

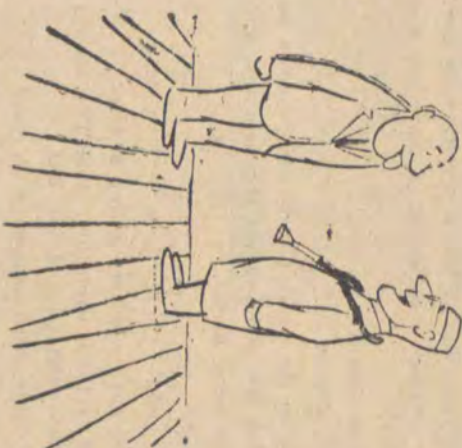
— Was fehlt Ihnen? Warum weinen Sie?
— Der Vater hat mir eine Ohrfeige gegeben, — antwortete der Mann.
Der Reisende war sehr erstaunt und fragte:
— Warum haben Sie von Ihrem Vater eine Ohrfeige bekommen?
— Ach, ich habe Grossvaters Pfeife geraucht und der Grossvater hat es nicht gern.
— Lebt Ihr Grossvater noch? — fragte der Reisende.
— Ja, natürlich. Sein Vater lebt auch noch, aber der liegt schon im Bett. Er ist schon etwas schwach.
— Das ist doch unglaublich, — sagte der Reisende. — Bitte führen Sie mich in Ihr Haus.
Die beiden Männer gingen ins Haus und der Reisende sah jetzt die vier Männer zusammen.
Der Urgrossvater war 146 Jahre alt. Er lag im Bett. Der Grossvater war 122 Jahre alt. Er sass am Fenster und rauchte seine Pfeife. Der Vater war 96 Jahre alt. Er sass am Tisch und war traurig, weil er seinem Sohn eine Ohrfeige geben musste. Der unartige Sohn, der 62 Jahre alt war, stand neben dem Reisenden und wischte sich mit dem Taschentuch die Tränen aus dem Gesicht.

Ein junger Franzose sieht in Paris einen deutschen Touristen. Der Junge ruft:

— Filou! Filou!
— Filou bedeutet deutsch: Dieb. Der Tourist kennt aber die französische Sprache nicht. Er denkt, dass der Junge fragt: Wieviel Uhr?
Deswegen antwortet der Tourist ruhig:
— Halb vier, mein Junge!



— Seems you will have to be operated.
— Yes?
— Stand up and let me check your heart and blood pressure.
— Is it all right, doctor?
— Yes, and your blood pressure is almost normal too. You may dress now. Well, here is an admittance to the hospital. Good-bye!
— Good-bye, doctor.



KAISER NAPOLEON

Napoleon besuchte die Kriegsschule zu Brienne. Als Kadett ass er Obst sehr gern. Er kaufte es bei einer Obsthändlerin. Manchmal hatte er kein Geld, so bekam er Obst von der Frau ohne Geld.

Nach Jahren verliess Napoleon die Kriegsschule. Er ging zu der Obsthändlerin und sagte:

— Meine liebe Frau, jetzt muss ich fort. Ich bin Ihnen Geld schuldig, kann es aber Ihnen nicht bezahlen. Ich werde Sie aber nie vergessen.

Die Frau antwortete:



HOUSEKEEPING

Mary is a good housewife. She rises early in the morning. First of all she makes a fire in the stove and begins to make coffee and get breakfast ready. By the time breakfast is ready, her husband and children are up too.

Breakfast is over, but her work is not; it has only just begun. While the eldest daughter attends to the children, she sweeps the floors, makes the beds, dusts the furniture, etc. When everything in the house is in good order, she goes and buys provisions for the day. After that she begins to prepare lunch. Then the dinner is to be cooked.

As it happens to be washing day, there is a bundle of clothes to be washed and dried. The ironing and mending is generally done on evenings. Now that the washing is done, there comes the dinner to be prepared. It must be ready by the time her husband comes home from his work at six o'clock.

While her husband smokes a cigarette after dinner, she clears the table and washes up the dishes. And that is not all. In a short while the smaller children are to be washed and put to bed. It is only late in the evening that she manages to sit down in the armchair, but not to rest. There are the socks and stockings to be darned and the clothes to be mended. Even her husband has long ago put away his evening newspaper and gone to bed. Mary is still at work. She goes to bed last.

— Junger Herr, gehen Sie ruhig. Gott erhalte Sie gesund und mache aus Ihnen einen glücklichen Mann.

Napoleon ging und er wurde bald General, dann erster Konsul und später Kaiser von Frankreich.

Eines Tages fuhr Kaiser Napoleon mit einem General nach Brienne und besuchte die Obsthändlerin. Die Frau stand am Kamin und kochte ein Abendessen. Ihre zwei Kinder spielten auf dem Fussboden.

— Haben Sie frisches Obst? — fragte der Kaiser.

— Ja, die Melonen sind schon reif.

Die beiden Männer setzten sich am Tisch. Der Kaiser fragte:

— Kennen Sie den Kaiser?

— Warum soll ich ihn nicht kennen? Er besuchte hier die Kriegsschule. Er kaufte bei mir Obst. Aber jetzt ist der Kaiser in Paris.

— Hat er Ihnen immer alles bezahlt? — fragte wieder Napoleon.

— Ja, natürlich. Er hat mir immer alles bezahlt.

— Meine liebe Frau, aber so sieht die Wahrheit nicht aus. Ich sehe, dass Sie den Kaiser nicht kennen. Er ist jetzt nicht in Paris, sondern in Ihrer Küche. Zweitens hat er nicht immer alles bezahlt. Jetzt will er es aber bezahlen. Die Frau öffnete den Mund, wollte etwas sagen, aber sie konnte kein Wort aussprechen.

Napoleon legte viel Geld auf den Tisch und sagte: — Ich danke Ihnen, ich werde Sie nie vergessen. Bleiben Sie und Ihre Kinder gesund.

Mit diesen Worten verliess Napoleon die kleine Küche der Obsthändlerin. Der General folgte seinem Kaiser.

Dalszy ciąg
ze str. 9

„No więc choruj i nie wracaj gitary!“ — powiedziała i zatrzasnęła furtkę.

Też wyjechał z oświadczeniami! Musiałam mieć bardzo zmienioną twarz, bo Mariola zapytała z niepokojem: „Kto to był? Czego chciał?“ „Ech, glupstwo — powiedziałam — listonosz, ale to pomyłka z adresem.“ „Magda! — odezwała się Mariola — wyjrzyj no przez okno i zobacz, kto tam się kręci przed domem?“ Wyjrzałam i krzyknęłam ze złości: „Czego ten wariat jeszcze chce?“ Ale musiałam otworzyć okno. Na ulicy stał Franek i szczyrzył zęby. „Co tobie? Chory jesteś?“ — zapytałam. „Nie — odparł Franek — jeszcze się trzymam, ale muszę ci oddać list.“ Wyszarpnęłam mu ten list z ręki i zamknęłam okno. Mariola zdążyła jeszcze krzyknąć: „Czesć staruszkui!“ „Znasz go?“ — zapytałam Mariolę. „Skądże. Pierwszy raz gościła widzę“ — powiedziała. „Okropny facet“ — rzekłam.

Usiadłam przy Marioli i objęłam ją za szyję. „No więc, Mariola, mów dalej. Umieram z ciekawości.“ „Nie jestem pewna, czy dalszy ciąg przypadnie ci do gustu.“ „Czy ty wiesz — powiedziałam do niej — że ja cie śledziłam?“ „Coś ty, Magda! — zawołała Mariola — Co ci wpadło do głowy?“ „Naprawdę — powiedziałam — Ostatnim razem szłam za tobą aż pod cerkiew na Kilińskiego. Tam podjechała jakaś „warszawa“, wsiadłaś do niej. Nie dziw się, że ta cała heca wydała mi się podejrzana.“ „Nie, Magda! — odparła Mariola. — Nie puszczalam, że zdobędziesz

się na to.“ A po chwili dodała: „Stuchaj, Magda, podaj no mi moją torebkę.“ Rzuciłam jej torebkę na tapczan, Mariola pogrzebała w niej i wyjęła „Dziennik Łódzki“. „Masz — powiedziała — przeczytaj, co zakreśliłam.“ „Cóż ciekawego! — zawołałam — Umarł ktoś i zamieścili mu nekrolog. Dlaczego mi to dajesz?“

„Ale czytaj — powtórzyła Mariola. — Nic ci to nie mówi?“ „A co ma mi mówić? Kto to umarł?“ „Feluś“ — powiedziała Mariola. „Boże kochany! — krzyknęłam — To Feluś umarł!“ „Tak — powiedziała Mariola — Umarł na raka.“ Zrozumiałam naraz wszystko. „I ty się nim opiekowałaś?“ — zapytałam. Przeczytałam jeszcze raz nekrolog. W pierwszej chwili nie zorientowałam się o kogo chodzi, ponieważ nie znałam nazwiska Felusia. Mówiliśmy na niego Feluś i koniec. Ale teraz wszystkie litery jakby ożyły. Boże święty, to Feluś umarł.

„Wiesz ty cały czas byłaś przy nim?“ — zapytałam wstrząśnięta. „A jakże“ — potwierdziła. „I ciotka wiedziała o tym?“ „Nie, dopiero jej wczoraj powiedziałam.“ „Wiesz ta twoja praca, to prz. Felusiu, tak? Wiesz nie bujałaś, że masz pracę i nasz doktor cie tam polecił?“ „Nie bujałam“ — rzekła Mariola. „Ale dlaczego mi nie powiedziałas? — zawołałam. — Przecież mogłaś mi to powiedzieć.“ „Nie wiem“ — odparła. Co pan powie na to? Czysta wariacja! Zadzwoń nagle telefon, podniosłam słuchawkę i położyłam ją natychmiast na widelki. Nie chciałam z nikim rozmawiać. Zdeenerwowałam się tym opowiadaniem Marioli. „To wszystko lipa — powiedziałam. — Czytanka dla grzecznych z po-

prawczaka.“ „Jak chcesz — odparła. — Ale Feluś umarł.“

Znowu zaterkotał telefon, powtórzyłam ten sam manewr ze słuchawką, ten gość, który dzwonił, musiał się wściekać, „Mariola — powiedziała — musisz mi jeszcze raz wszystko opowiedzieć.“ „Jeżeli ci to zrobi przyjemność, to owszem — odparła — Ale czego ty w końcu oczekujesz?“ „Spowiedź świętej — rzuciłam ze złości. — Ty jeszcze nie powiedziałaś wszystkiego.“ Jak pan sądzi, chyba miałam prawo postawić w ten sposób sprawę? Ale Mariola nie zdążyła nawet pół zdania powiedzieć bo do pokoju weszła ciotka, oddychała ciężko, widocznie biegła szybko. „Jak cię czujesz, Mariola?“ — zawołała. „W porządku — odparła Mariola. — Tylko ta wariacja nie daje mi wstać z łóżka.“ Ciotka była ogromnie zdenerwowana, podeszła do kredensu, nalala sobie kieliszek, ale spojrzała najpierw na Mariolę, potem na mnie i nie wypyla. „Musiałam przyjechać powiedziała do Marioli. — Sama rozumiesz, że musiałam. „No tak“ —

odparła niepewnie Mariola. „Jak się czujesz?“ — zapytała ponownie ciotka. „Świat nie, zaraz wstaję.“ „Ach, Mariola — mówiła ciotka — zadzwonił do fabryki doktor. Wyobrażasz sobie, jak się przejęłam.“ „Co też ciotka mówi, nie mi nie jest.“ „No więc doktor mnie uspokoił, ale zwołniam się z fabryki i przyjechałam.“

Zauważył pan, że ciotka ani razu nie zwróciła się do mnie, gadała tylko do Marioli, jeżeli nie powiadła na mnie z góry, to chyba dlatego, jak się domyśliłam, że wezwałam natychmiast doktora. Przyszykowałyśmy o biad, ciotka postawiła kafelek i trzy kieliszki. „Nie bój się — powiedziała do Marioli — pytałam się doktora, czy możesz wypić, powiedział, że jeden szczypaniec nie zaszkodzi.“ „Wiedziałem, że jeden szczypaniec nie zaszkodzi.“ „Wiedziałem, że jeden szczypaniec nie zaszkodzi.“ „Wiedziałem, że jeden szczypaniec nie zaszkodzi.“

odpowiedziała Mariola. „A nie mieliś zawodowych pielęgniarek?“ „Wie ciotka? Nie interesowałam się tym. Pewnego dnia Feluś zasłabł, odprowadziłam go do domu. I tak się zaczęło.“ „Och, jak to pięknie!“ — zawołała ciotka. Dość już miałam tych zagrywek, wiedziałam, że ciotka umyśliła się tak zachwycić, aby mi dokuczyć i wtraciła swoje trzy grosze. „Znam daleko piękniejszą historię“ — powiedziała. Ciotka się nie odezwała. Rozlałam wódkę i powiedziałam: „Czytałaś, Mariola, historie o tej wariatce, która chciała uciec z Izby Zatrzymań? Upięta sznur z ręczników i po nim zjechała z pierwszego piętra. Ale na dole ją złapali. Powiedziała, że nie może żyć bez swojego ukochanego. Czy to nie pięknie?“ Ciotka nie wytrzymała. „Wiesz, Magda, to już przechodzi pojęcie!“ „Nareszcie się ciotka odezwała“ — powiedziała.

Znowu zadzwonił telefon. Tym razem podniosłam słuchawkę, zresztą Mariola zaczęła mi rozmawiać. „Halo!“

— krzyknęłam i w odpowiedzi usłyszałam głos Toska. „Halo, Magda — mówił Tosiek — nie można się do was dodzwonić.“ „Widocznie źle nakręcasz numer“ — powiedziałam. Ciotka przybiegła do mnie i zapytała: „Z kim rozmawiasz?“ „Z Kostkiem“ — odpowiedziałam zakrywając dłonią słuchawkę. Ciotka usiadła, miała twarz zadowoloną, jakby ją kto miodek posmarował. Bo ja wiem, dlaczego skłamałam? Byłam zła i koniec. „Magda, Irena mówiła ci o mojej prośbie?“ — zapytał Tosiek. „Owszem, tak“ — powiedziałam. „I co ty na to?“ „Chyba się domyślasz, co mogę na to odpowiedzieć“ — odparłam. „Ja nie zleżo nie proponuje — powiedział szybko Tosiek. — Zrozum, Magda, że to jest czysta gra.“ „To mnie mało obchodzi“ — rzekłam. „Wiesz co?“ — powiedział. „Zobaczmy — odparłam. — Może się namyśli.“ „Dzięki, dzięki“ — krzyknął, ale ja już położyłam słuchawkę.

Ciotka uwierzyła, że rozmawiałam z Kostkiem, ale Mariola spoglądała na mnie podejrzliwie. „Ej, Magda — powiedziała — Co ty tam nowego knujesz?“



SIÓDMY KANAŁ

A więc przejście Telewizji Łódzkiej na kanał siódmy stało się faktem dokonany. O motywach tej decyzji szeroko informowała prasa codzienna. Na razie, oczywiście, na kanale siódmym nadaje się (zw. program przemysłowy, przeznaczony dla pracowników ZURIT, którzy przestra-

wizji kolorowej, która nas nieuchronnie czeka. Wątpliwość może tu budzić jedynie pora roku, jaka wybrano dla przeprowadzenia zmiany kanału. Jest to okresem niefortunnym z dwóch względów:

Po pierwsze program artystyczny telewizji po wakacyjnej kanikule jest w tym czasie najbardziej urozmaicony i obfituje w dość dobre pomysły oraz stoi przeważnie na dostatecznym poziomie. Nagła zmiana kanału, przyznajmy to szczerze, pozbawiłaby częściowo parę tysięcy widzów przez pewien okres przyjemności spoglądania na srebrny ekran.

Po drugie — i tu tkwi chyba największa obawa — okres jesienno-jedynkowy jest dla ZURIT okresem największego wzrostu liczby napraw i reperacji odbiorników telewizyjnych. Jeśli weźmiemy pod uwagę, że w normalnym czasie punkty

torem technicznym tegoż przedsiębiorstwa wynika, że ZURIT absolutnie nie jest przygotowany do akcji przestrojenia odbiorników telewizyjnych na nowy odbiór. Proszę na przykład zauważyć, że dyrektor techniczny przedsiębiorstwa, na które nałożony został tak bardzo ważny obowiązek nie potrafił mi dołączyć powiedzieć jakimi możliwościami produkcyjnymi dysponuje obecnie jego zakład, ile radiodbiorników

że sławę tę jeszcze bardziej postara się ugruntować. ZURIT należy bowiem do najbardziej zdeorganizowanych wewnątrz przedsiębiorstw w Polsce. W tym miejscu prosiłbym wszystkich Czytelników naszego pisma, którzy mieli choć kiedykolwiek styczność z tym przedsiębiorstwem o nadesłanie swoich krytycznych uwag. Uwagi te postaramy się wykończyć w celu wysunięcia konkretnych propozycji usprawnienia usług w tej dziedzinie. Obecnie łatwiej przecież otrzymać paszport do Patagonii niż naprawić szybko telewizor.

Mógłbym jeszcze przeprowadzić dowód prawdy na to, że właściciele psujących się często telewizorów, którzy mają kontakt z ZURIT częściej si-
wieją niż normalni ludzie, ale a nuż pracownicy ZURIT przejmą się na serio tymi wszystkimi zarzutami i naprawdę postarają zlikwidować



mogą tygodniowo lub miesięcznie przestroić, ewentualnie przebudować, czy personel punktu ZURIT został odpowiednio przeszkolony i przygotowany do zadań, jakie go czekają.

Tak więc jeśli w dniu, w którym przedsiębiorstwo przystępuje do najważniejszego zadania w historii swego istnienia jego dyrektor techniczny nie potrafi odpowiedzieć na kilka elementarnych pytań dziennikarza świadczy to o tym, że przedsiębiorstwo które reprezentuje, nie jest przygotowane do swego życiowego egzaminu. Przedsiębiorstwo to wśród posiadaczy telewizorów od dawna dawała cieszyć się jak najgorzej sławą. I można mieć obawy,



bałagan panoszący się w ich przedsiębiorstwie. Obecna akcja jest dla nich historyczną szansą odbudowania nadwątzonej renomy. Cieszyć się będziemy, gdyby te szanse naprawdę wykorzystano.

J. G.



NAJBLIŻSZA PRZYSZŁOŚĆ POLSKIEJ SZKOŁY TELEWIZYJNEJ

Tytuł o wiele na wyrost, gdyż polska szkoła telewizyjna w pełnym tego słowa znaczeniu jeszcze nie istnieje. Ale, adrety są wielkie, choć szczere, zaś ambicje chyba tym razem na miarę realnych możliwości, więc chociaż z drugiej strony doświadczenie jest wciąż nieduże, tradycja szerszych w ogóle brak, osiągnięć szczególnych a imponujących również się nie zanotowało, to jednak można sobie tak optymistycznie rzecz ująć nazwać. Jaka ostatecznie forma przyjmie ta polska, przyszłościowa telewizja szkolna — jeszcze nie wiadomo, natomiast do trudności trzeba dorzucić fakt, że trudności, — jak zresztą ze wszystkim, co nowe i racjonalne — mnóstwo, ale nie o tych należy tu informować. Na wyszczególnienie tych „obiektywnych” przeszkód przyjdzie właściwy czas, proszę się nie obawiać, nie nazywałbym się Kowalski, gdybym im popu-

Sadząc o zamierzeniach programowych w tym roku telewizja szkolna pragnie uczciwie z racować na swoją nazwę. Tak przynajmniej wynika z jej plągow. Przede wszystkim nauczanie telewizyjne obejmuje dzieci dotychczas pokrzywdzone: z terenów województwa lubelskiego oraz zachodnich i południowych powiatów województwa śląskiego, gdzie zaistniało nadajniki telewizyjne. Sam program lekcji w telewizji zostanie również znacznie poszerzony — dla klas VII do XI będzie nadawana cyklicznie audycja: „Z kraju i ze świata” — magazyn aktualnych wiadomości politycznych, gospodarczych i społecznych, a dwa razy w miesiącu na antenie pojawi się lekcja umysłowości, zaś lekcjami historycznymi zostaną objęte klasy szkoły podstawowej od V do VII (w ubiegłym roku tylko klasy V i VI).

Telewizyjny program nauczania w bieżącym roku szkolnym obejmie prawie wszystkie przedmioty: geografię, historię, fizykę, chemię, biologię, język polski, Geografię znając się w trzech cyklach. „Kraj i świat” i „Ludzie świata” opierać się będzie głównie na filmowych projekcjach, wzbogacanych komentarzami. W ten sposób młoda widownia otrzyma atrakcyjną lekcję o poszczególnych kontynentach, wraz z omówieniem typowych dla nich form gospodarczych. Drugi cykl, zatytułowany: „Ziemia, nasza planeta” przekaże wiadomości ogólne z zakresu geografii fizycznej, raz dając dotychczas kształtu, wielkości, ukształtowania, powierzchni kul ziemskiej. Wreszcie, trzeci cykl: „Poznaj swój kraj” przyniesie przegląd zagadnień etnograficznych z poszczególnych regionów Polski.

Lekcje biologii bazować będą prawie wyłącznie na pokazach filmowych, umożliwiając dogłębne poznanie podstawowych procesów biologicznych. Miedzy innymi, cykl „Nauka o człowieku” przedstawi zagadnienia związane z budową organizmu człowieka, jego ewolucyjnym rozwojem, itd. Lekcje fizyki i chemii opierać się będą przede wszystkim na reportażach z instytucji naukowych, laboratoriów, zakładów pracy, aby pokazać jakim przeobrażeniom ulegała bożnie matnie i sztywne prawa w działalności człowieka. Niezwykle bogato zapowiadają się lekcje języka pol-

skiego. Cykl „Sylwetki sławnych ludzi” dla klas od VII do XII pozna młodzież z życiem i twórczością Stefana Żeromskiego, Fryderyka Chopina, Kornela Makuszyńskiego. W innym cyklu — w „Dziejach dramatu” pokazane zostaną wybrane inscenizacje fragmentów najwybitniejszych utworów dramatycznych. Dramat polski zaprezentują m. in.: „Uciełka” miłopieczna „Zeromskiego”. „Nieboska komedia” Krasin-
skiego, z literatury światowej zobaczymy: „Antygone” Soloklesa, „Romeo i Julia” Szekspira, Czechowa „Wiśniowy sad”, „Zołnierza i bohater” Shawa, „Zaby” Arystofanesa. W cyklu: „Spotkania z autorem” młodzież będzie miała okazję poznać kilku wybitnych polskich pisarzy — o swojej twórczości mówić będą: Igor Neverly, Jan Brzechwa, Gustaw Morcinek i Marian Brandys. Szczególnie interesująco zapowiadają się cykle audycji „O miejsce wśród ludzi”, w którym na podstawie inscenizacji utworów dramatycznych literatury młodzieżowej przeprowadzi się dyskusje na temat postaw moralnych młodzieży.



Tyle mówią plany. Wydaje się ogromnym niedopatrzeniem brak uwzględnienia w nich nauki języka w obcych, które są — i długo jeszcze będą — pięta achillesowa naszego szkolnictwa. Czy słowiańska mogłaby w tym zakresie coś konkretnego uczynić? — Przypuszczam, że tak, i że dużo więcej niż tak. Ostatnie słowo nie zostało tu powiedziane, i czas jest aby to istotne przeoczenie naprawić. Skądinąd, należy przyznać, że plany wykładają imponująco. Co prawda, reguła głosi, a doświadczenie potwierdza, że pomiędzy planem a praktyką zawsze zachodzi poważna rozbieżność. Zdecyduj więc wszyscy, by w tym wypadku, powyższa smutna reguła stała się szczególnie wyjątkiem.

Kowalski

PS. Program szkolny jest sukcesem, ale jest to program wąski. Jak dalece przystosowano go do rzeczywistych potrzeb szkoły? Czy Łódzki Ośrodek Telewizyjny może ten program wzbogacić? O tym w następnym numerze.

odgłosu str. 11

TEATR POPULARNY!

MASKARADA

Chodziłem jeszcze do szkoły podstawowej, gdy na scenie częstochowskiego teatru widziałem „Maskaradę”. Była dla mnie wtedy ogromnym przeżyciem (przewijający się w czasie tego przedstawienia motyw muzyczny pamiętałem jeszcze bardzo długo). Toteż ze wzmożoną ciekawością czekałem na piątkową premierę Teatru Popularnego. Czy ta romantyczna tragedia Lermontowa potrafi teraz wzruszyć? Realizatorów spektaklu czekało tym razem bardzo ciężkie zadanie. „Maskarada” należy raczej do dramatów nitelewizyjnych.

Nie należy również z pewnością do arcydzieł dramatycznych. Wyborem tej sztuki kierowała chyba jej komunikatywność i... popularność. W tym tkwi odmienną tego spektaklu od poprzednich przedstawień Teatru Popularnego (wylaczając „Ojca Goriot”). Dotychczas bowiem pokazywano mniej znane utwory głośnych autorów („List”, „Sprytna wdówka”, „Jesienna nuda”). Wzorem tych premier należało się raczej spodziewać mało popularnego dramatu Lermontowa „Hiszpanie”. Ale dobrze się stało, że wybrano „Maskaradę”. Wprawdzie

zawarty w niej problem poruszył dwadzieścia lat przedtem Szekspir, niemniej „Maskarada” ze względu na swoje walory liryczne i krytyczne zasługuje na wystawienie. Piątkowego spektaklu nie można niestety zaliczyć do najlepszych premier Teatru Popularnego. Zauważyła na tym oprócz drobnych niedociągnięć (jak np. denerwujący przez całe przedstawienie cień mikrofonu) mała zwartość dramatyczna i brak dynamiki. Niewiele mogły więc pomóc ustawiczne zbliżenia, których zadaniem było większe przykucie uwagi widza. Nużyły w końcu

za dużo eksploatowane monologi wewnętrzne. Spektakl „ratowała” nienaganna (jak zwykle) gra aktorów. Prawdziwy koncert gry dał tym razem kreujący główną rolę Mieczysław Voit. Stworzona przez niego postać Arbienina, była aż sugestywnie przekonująca. Voit potrafił wydobyc z całej głębi psychologicznej tej skomplikowanej postaci chorobliwie zazdrosnego męża. Stąd jest to jeszcze jeden olbrzymi sukces tego doskonałego aktora. Z pozostałych ról należy wyróżnić jeszcze demonicznego mściciela, kapitalnie zagrane przez Wojciecha Piliarskiego. Reszta zespołu aktorskiego na normalnym, dobrym poziomie. Podkład muzyczny podkreślał atmosferę tragedii, lecz niekiedy wydawał mi się zbyt natrętny. Konwencjonalne dekoracje nie wykraczały ponad przeciętność. W sumie premiera nie za bardzo udana, chociaż dająca się oglądać. No cóż, Teatr Popularny zepsuł nas swymi świetnymi dotychczasowymi przedstawieniami. A swoją drogą Lermontow już się troszeczkę zestarzał.

TADEUSZ WIĄCEK



Mieczysław Voit i Urszula Modrzyńska w „Maskaradzie” — Lermontowa. Fot. Z. Krajewski



Bez słów

WSZYSTKO dla OMNIBUSÓW

Dalszy ciąg
ze str. 1

etwa specjalistycznego. Doszło do tego, że gotowiliśmy tworzyć poradnie prawej ręki i lewego ucha i stawiać je ponad interesami poradni podstawowych, ogólnych, tzw. rejonowych. Przynajmniej w tym kierunku działają naciski profesjonalne. Wśród lekarzy każdy woli być specjalistą wąskiego zakresu niż omnibusem, bo to i łatwiej i lepiej. Środowiskowe uznanie czeka bardziej na specjalistę od lewego ucha niż na omnibusa. Ten pierwszy obsługuje dwóch pacjentów dziennie, podczas gdy na tego drugiego, pracującego w poradni rejonowej wali się lawa diecezji.

Truizmem jest stwierdzenie, że sytuacja ogólnych poradni rejonowych stanowi pięć achillesową naszą dynamicznie rozwijającej się służby zdrowia. W obliczu smutnych danych, będących w końcu kryterium tej sprawności, truizm ten nabiera jednak wszelkich cech odkrycia. Bo przecież zarówno poważne zagrożenie jak i umieralność niemowląt wynikają nie z choroby, jak właśnie z zaniedbań funkcjonowania medycyny w środowiskach ludzkich, w codziennych, „normalnych” warunkach egzystencji podległej lekarzom populacji. Zauważając po prostu, nie można skutecznie dbać o zdrowie dziecka, zapobiegać jego chorobom bez wiedzy o tym, czy matka go aż do odparzenia nie przegrzewa, lub czy nie jest ono narażone na pieszczoły fatalnie „kaszlącego” dziecka.

W związku z powyższym, a nie dlatego, że to państwotwórcie hasło, nie kłótni, jak właśnie lekarz rejonowy, jawi się centralna figura naszej służby zdrowia. Mam wrażenie, że tym razem jawi się już nie intencjonalnie, ale faktycznie.

Wrażenie to odniosłem, uczestnicząc w zjeździe lekarzy rejonowych, zorganizowanym przez balneki Wydział Zdrowia. Zjazd ów odbył się na zasadzie nieco familiarno-weekendowej i była to mądra zasada. Przez półtora dnia z noclegiem lekarze wraz z rodzinami bawili w pięknym ośrodku wczasowym SGGW w Rogowie. Muszę, że owo spotkanie oficjalne zgromadzenie było dobrym chwytem integracyjnym. Jeżeli uważać, że właśnie lekarz rejonowy, jest funkcjonariuszem medycyny najbardziej „zaginionym”, najbardziej „parającym” na kontakt z obywatelami społecznej frustracji — to zarazem sam do niej ma skłonność. A skłonności tej z reguły towarzyszy fragmentaryczne widzenie świata. Że tu dykt, tu koń, tu wóz, tu woźnica, a wszystko razem nie trzyma się kupy. Można wymianę spostrzeżeń w szerszym gronie oznaczać spojrzeniem na całość wehikułu czasu z prawdziwej perspektywy. I myślę, że ponad stu lekarzy rejonowych, którzy radzili, a w przerwach relaksowali, powrócilo ze swego zjazdu z lepszym widzeniem owego wehikułu czasu.

Przed wszystkim nikt nie oponował przeciwko tak uniwersalnie zakreślonej swojej roli zawodowej. Postulat czynnego poradnictwa w środowisku cieszy się zrozumieniem. Nie usłyszałem narzekania na wynagrodzenia. Nicia przewodnia obrad była, co zracjonalizować, ażeby ogrom zadań zmieścić. Co i jak z istniejących środków wygospodarować, żeby lekarz rejonowego lepiej uplasować. Przy czym tu idzie nie o mamone. Upokorzenie lekarza rejonowego polega na tym, że nie ma on możliwości dokształcania się. Padł realny wniosek zorganizowania dla lekarzy rejonowych okresowych stażów klinicznych, liczących się z czasem do ewentualnej specjalizacji. Zgodzono się z pilną potrzebą ograniczenia „spychotechniki”, to znaczy odsyłania pacjenta od Annasza do

Piękne dziewczęta na łamy „Odgłosów“



Fot. W. Stachlewski

WEDŁUG WŁASNEJ OCENY

Z okazji ukazania się nowego rozkładu jazdy na okres zimy 1962-63, publikujemy kilka ciekawostek z figurujących na wstępie tego rozkładu „Informacji przewozowych”.

□ Z przedziałów dla podróżnych z dziećmi do lat 4 i kobiet ciężarnych korzystających tylko osoby, dla których przedziały te są przeznaczone. Od kobiet ciężarnych kolejowe organa kontrolne mogą w razie wątpliwości żądać zaświadczenia lekarskiego.

□ „Miejsce dla inwalidy”. Prawo do zajmowania tych miejsc posiadają przede wszystkim podróżni o widocznym kalectwie, utrudniającym podróżowanie w pozycji stojącej, bez względu na przyczynę inwalidztwa. W razie braku takich inwalidów, miejsca

te mogą zajmować inwalidzi, którzy utracili zdolność zarobkową co najmniej w 45%.

□ Spóźniony odjazd lub przyjazd pociągu, odwołanie pociągu, lub wyłączenie z pociągu wagonu, nie dają podróżnym prawa żądania odszkodowania od kolei.

□ Kto opuszcza miejsce, nie założony go wyraźnie, traci do niego prawo. Założenie miejsca czasopismami, nie jest uważane za założenie miejsca.

□ Gdy bagaż ręczny podróżnego... przekracza normy wagowe i wymiarowe, wówczas podróżny obowiązany jest oddać nadmierny bagaż do przewozu w przełazie bagażowym... Oplatę za przewóz takiego bagażu pobiera konduktor, ustalając wagę według własnej oceny.

MAMA MA 19 LAT

Ilość urodzeń na tysiąc mieszkańców wynosiła w Łodzi 27,1 w roku 1948, zaś w roku 1961 — zaledwie 12. Ten stały spadek ilości urodzeń charakterystyczny jest dla całego kraju. Ostatnio jednak statystycy łódzcy wykryli coś, co jest zapowiedzią tendencji odwrotnej. Otóż w roku 1956 matki w wieku 19 i mniej lat urodziły w Łodzi 811 dzieci. Zaś w roku 1961 — już 863 dzieci. Tzw. skala wieku największej płodności wyraźnie przesunęła się w dół. Tymczasem już za 4—5 lat w okres płodności wejdzie słynny, powojenny wyż demograficzny. Niewinno dotychczas liczby dotyczące wzrostu liczby urodzeń przez matki 19-letnie, zamieniają się wówczas w prawdziwą „eksplozję urodzeń”. Wynika z tego, że wskaźnik przyrostu naturalnego zacznie znowu zwyżkować!

Redaguje Zespół * Wydawca: „Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” * Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79 * Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4.—, kwartalnie zł 12.— * Redakcja nie zamawiających reklam nie zwraca * Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe. * Stosownie do PPK „Ruch” — z oznaczeniem na „Odgłosy” * Druk: RSW „Prasa” — Łódź, Zwińd 17 * Zam. 2830, X. 62. A-4

SCEPTYK

ODGŁOSY tygodnia

PRZEWAGA KOBIET MALEJE

Łódź miała w 1945 roku 134,5 kobiety na każdych 100 mężczyzn. Obecnie jest ich już tylko 116 na 100. Ciekawy był proces tego wyrównywania się liczebności płci. Od pierwszych lat powojennych stale napływało do Łodzi więcej mężczyzn niż kobiet. Wyjątkiem był tylko rok 1951, kiedy to mężczyzn przybyło 5 tysięcy, zaś kobiet — 9 tysięcy. Ale już w roku następnym ta „nieprawidłowość” się wyrównała — wśród 8 tysięcy przybyszów, kobiet znalazło się tylko niecałe 2 tysiące.

Stale więcej było również noworodków płci męskiej. W roku 1946 urodziło się 6,7 tys. chłopców i 6,1 tys. dziewcząt, w r. 1951 te liczby wyniosły 8,3 tys. oraz 7,7 tys. W ten sposób sama natura kompensowała wojenne ubytki.

Natomiast zaskakująco ułożyła się sytuacja w zakresie zgonów. Do roku 1953 stale umierało więcej mężczyzn niż kobiet. Zaś poczynając od roku 1954 „górąją” kobiety, a stosunek zgonów stale i regularnie wzrasta na ich niekorzyść. Na przykład w roku 1961 umarło w Łodzi 2,6 tys. mężczyzn oraz 2,7 tys. kobiet. Dlaczego tak się dzieje? Odpowiedź mogą dać tylko wnikliwe analizy demograficzne. O zebranie materiału dla demografów skrzętnie zabiega Wydział Statystyki Prez. RN m. Łodzi, który wkrótce opublikuje 2 nowe zeszyty monograficzne: „Ludność m. Łodzi według ewidencji meldunkowej 1945-61” oraz „Ruch naturalny w Łodzi 1945-61”. Stamtąd i my czerpaliliśmy powyższe dane.

„SZCZEKAJĄCE PSY” NA SIKAWIE

Znany zespół big-beatowy „Czerwono-Czarni” podczas ostatniego pobytu w Łodzi, jeszcze przed występem w Pałacu Sportowym był gorąco oklaskiwany w Ośrodku Pracy Więźniów na Sikawie.

Jak się okazało za zgodą kierownictwa tego ośrodka pensjonariusze zakupili spektakl, płacąc za bilety od 10 do 15 złotych.

Gwoli sprawiedliwości dodajmy jednak, że w czasie wykonywania „Malowanej lali”, „Czarownicy”, „Szczekających psów”, „Twist twist” i innych pel-



nych temperamentu utworów, więźniowie zachowywali się bardzo spokojnie, przyjmując jednak każdą melodię burzą oklasków.

Po koncercie kierownik „Czerwono-Czarnych” miał podobno oświadczyć, że z tak miłą i kulturalną publicznością, jak na Sikawie, dawno się już nie spotkał.

Historia z myszką

STRASZNA TRAGEDIA

Dyrektorem Teatru Miejskiego w Łodzi był w roku 1932 Kazimierz Wroczyński, sam zresztą cieszący się najlepszą opinią komediopisarza. Ale jak wiadomo rok 1932 pozostawał w Łodzi pod znakiem licznych strajków a nawet doszło do słynnego strajku powszechnego włóknarzy. W tym stanie rzeczy teatr nie mógł liczyć na frekwencję i szukał różnych dróg aby ją zdobyć. Właśnie na afiszu teatralnym ukazał się „Mazepa” J. Słowackiego. Dyr. Wroczyński jednak obawiał się klapy. Wówczas to w miejscowej gazecie „Republika” ukazała się notatka pod sensacyjnym tytułem: „Strasza tragedia w domu wysokiego urzędnika państwowego. Syn wojewody zakochany w pięknej macosze został żywcem zamurowany przez zadowolonego ojca. Wojewodzina zażyła silnej trucizny, zaś sprawca tragedii wojewoda przebił się sztyłem.”

Dziś wieczór o godz. 19 trzy trumny ze zwłokami wystawione zostaną na widok publiczny przy ul. Cegielnianej nr 27.

Trudno opisać co tego wieczoru działo się przed teatrem. „Mazepa” ściągnął tłumy publiczności.